**Miesięcznie 1 zł.** prenumeratę przyjmuje każda poczta.

**1 egz. 30 groszy.**

# Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. *Niedziela, dnia 7 lutego 1937 r.* Nr. 6

## NARCIARZE

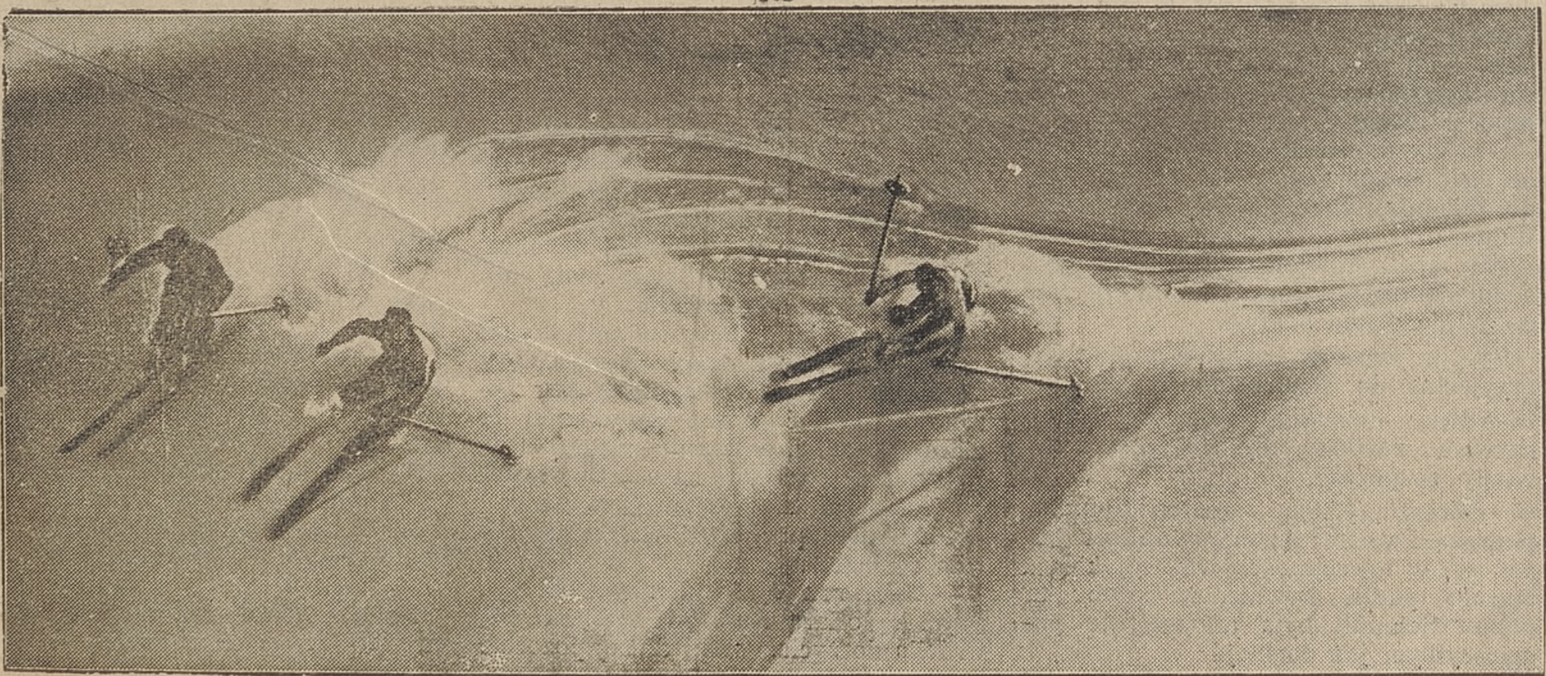
Na białych, zimnych szlakach,
Jak ptaki mkną
Gdzieś w dal, po siłę wrażeń,
Co srebrem lśnią —
Dzielni narciarze!

Darmo ich gonić myślą
I mierzyć śnieg,
Co gór okrywa krańce —
Jak wartki prąd rzek,
Gonią gdzieś w słońce.

Nie wrócą już, nie wrócą,
Porwała ich dal
I niesie w serc zapale,
Gdzieś w ciszę hal —
Salto mortale.

Na białych, zimnych szlakach
W swym locie mkną,
Co jest im głodem wrażeń,
Albo śmierci grą —
Dzielni narciarze!

Maria Zemmlerówna.



**WOJCIECH HOLM**

18)

# *Nienawiść a miłość*

### *czyli tajemnica zamku Felseg*

— Proszę mi przygotować torbę podróżną i różne przybory toaletowe — rozkazał jednymu ze swych służących.

Wyjeżdżam do Wiednia. Niech woźnica przygotuje jutro na siódmą rano mały, myśliwski wózek. Proszę mnie też zbudzić jutro rano punktualnie o szóstej. Zrozumiano?

— Zrozumiałem, panie baronie — mruknął służący i wyszedł cichym krokiem z pokoju. Ale gdy znalazł się za drzwiami, przemienił się jego wyraz twarzy z pokornego w złośliwy.

— Jak on komenderuje? — mówił. — Jak on się obchodzi z uczciwymi ludźmi? Jakim prawem on tu pana udaje? Kto dowiódł, że nasz dobry i młody pan zginął nagłą śmiercią w kwiecie swego życia? Tego nikt nie dowiódł.

Panna Sylwia utrzymuje, że nasz młody pan jeszcze żyje. Cieszyłbym się, gdyby pewnego pięknego dnia zjawił się tu i położył koniec temu gospodarowaniu. Z przyjemnością wyrzuciłbym tego nieznośnego barona za drzwi.

Ten mały monolog wprawił służącego znowu w dobry humor. Pospieszył teraz, aby wypełnić rozkazy barona, po czym poszedł do pokoju dla sług, gdzie cały wieczór w karty grał i piwo pił. Przy tym wygadywał na różne kreatury, które podstępnym sposobem zdobywają sobie spadki i pozwalają sobie maltretować uczciwych ludzi. Cała służba przyklasnęła temu.

## ROZDZIAŁ LXI.

### Wspomnienia panny Schmidt

Następnego rana udał się baron punktualnie na dworzec. Ku wielkiemu zdziwieniu służącego kupił sobie baron tym razem sam bilet, a to dlatego, że kupował bilet tylko do następnej stacji, a o tym służący nie śmiał wiedzieć.

Skoro baron przybył do następnej stacji, wysiadł z kolei, wynajął sobie dorożkę i wrócił napowrót do miasteczka, z którego przed pół godziną wyjechał koleją. Tam na dworcu czekał znowu na pociąg, którym miał się wybrać w drogę.

Uważny czytelnik domyśli się zapewne, że baron wcale nie wybierał się do Wiednia, tylko udał się do Wildensteinu.

Na stacji Ebershan wysiadł, gdyż stamtąd musiał znowu dwie mile jechać do Wildensteinu kołowo.

Był już wieczór, gdy baron dorożką przyjechał do Wildensteinu.

— Hm, — mruknął baron — jest rzeczywiście zapóźno, aby dziś jeszcze wywiady rozpocząć.

— Zresztą jestem zmęczony tą nudną podróżą i wcale nie mam humoru bawić się w uprzejmości, wobec jakiegoś starego pudła. Pewnie, że gdyby ta panna Schmidt była młodszą, to pospieszyłbym już do niej.




Zarząd poczt w Italii wydał ostatnio pierwsze znaczki pocztowe, przeznaczone dla kolonii w Abisynii. Znaczki te przedstawiają króla włoskiego i umieszczony jest na nich podpis w języku włoskim i abisyńskim.

Ale ona z pewnością należy już do starożytności i będzie to dla mnie prawdziwą ofiarą spędzić z nią kilka godzin. Musi być nudna, jak są wszystkie stare panny.

Niespodziewany przyjazd barona był dla całej służby bardzo niepożądany. W największym pośpiechu sporządzono dla niego kilka komnat.

Kolację starano się zrobić jak najlepszą, ale baron wcale nie był z tego zadowolony, gdyż dostał tylko kuropatwę i omlet.

— Czy się tu zawsze tak skromnie jada? — zapytał się gospodyni, chmurząc przy tym czoło.

— Do usług pana barona — odrzekła dygając — gdybyśmy byli przeczuwali, że pan baron przyjedzie, to byłabym pewnie lepszą kolację przygotowała niż ta!

— Głupie wymówki — mruknął Egon — w porządnie prowadzonym gospodarstwie powinny być zawsze odpowiednie zapasy. Od jutra nie chcę widzieć tych szpitalnych dań.

— Proszę tylko rozkazać — odrzekła gospodyni. — Może pan baron zechce łaskawie podyktować mi spis potraw na jutro.

— Jeszcze tego potrzeba! — zawołał Egon dość szorstko. — Pocóżbym miał płacić gospodynię, gdybym musiał sam sobie suszyć głowę o każdy kęs. Pani dostaje przecież utrzymanie i zapłatę za tę odrobinę roboty, jakże może pani jeszcze ją zmniejszać?

Gospodyni nic nie odrzekła na obrażające słowa barona. Skłoniła się milcząc i opuściła salę jadalną.

Z świeżej jej twarzy ustąpił rumieniec i uprzejmy uśmiech. Zacięła zęby z gniewu i zmarszczyła czoło. Aby baronowi nie dać znowu sposobności do niezadowolenia, poszła powtórnie do jego sypialni i przekonała się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Układając puchowe poduszki, mówiła do siebie:

— Cały rok życia dałabym za to, abym tą ofiarą hrabiego Wernera powróciła do życia. Tutaj dłużej pozostać nie mogę. Co za szkoda, że raczej barona nie spotkała taka śmierć, zamiast naszego młodego pana. Życzę mu, aby przez całą noc astma mu dokuczała.

Ale życzenie jej wcale się nie spełniło. Przeciwnie, Egon spał tak dobrze, że dopiero o godzinie 10-tej rano zbudził się.

Wstał w najlepszym humorze, zjadł śniadanie i niezwłocznie udał się na cmentarz, który już zwiedził, będąc kiedyś w Wildenstein.

Cmentarz był położony w odosobnieniu i otoczony żywopłotem, sprawiał wrażenie nadzwyczajnego spokoju.

Po krótkim szukaniu zobaczył Egon dobrze utrzymaną mogiłę, obrośniętą powojem, z tablicą z białego marmuru, na której był wyryty napis:

„Requiescat in pace".

To jest grób Desirée, pomyślał.

Patrzył na grób ten z taką ciekawością, jak gdyby oczekiwał, że mu opowie tajemnicę zmarłej.

— Desirée wyświadczyła mi tą swoją wczesną śmiercią nadzwyczajną przysługę — mówił do siebie — chociaż byłoby lepiej, gdyby i dziecko było za nią poszło do wieczności, ale jak długo nikt nie zna pochodzenia Sylwii, jest mi ona zupełnie nieszkodliwą. Ale to już moja rzecz, aby się nikt nie dowiedział, czyją córką jest Sylwia.

No, a teraz do dzieła!

Już miał wychodzić z cmentarza, gdy nagle spostrzegł wysmukłą postać kobiecą w skromnej, popielatej sukni.

Była to już starsza dama, o mało obiecujących rysach. W ręce miała koszyczek ściętych róż i zbliżała się powolnym krokiem do grobu, aby go różami przyozdobić.

Egon odgadł zaraz, że to jest panna Schmidt, siostra proboszcza w dobrach Wildenstein.

Baron, który wcale nie wzruszył się wspomnieniem zmarłej, przybrał teraz smutny wyraz twarzy i ręce złożył, jak gdyby odmawiał cichą modlitwę.

Panna Schmidt była wzruszona widokiem tak tkliwego i pobożnego chrześcijanina. Nie chciała mu też w modlitwie przeszkodzić i dopiero, gdy Egon westchnął i zabierał się do odejścia, przybliżyła się nieśmiało do niego.

— Niech mi pani łaskawie wybaczy, jeżeli swoją modlitwą wstrzymałem pani dostęp do grobu — rzekł Egon łagodnym głosem — i niech pani pozwoli, że przedstawię się — jestem baron Egon Sturmfeder.

Panna Schmidt odpowiedziała na to ukłonem i rzekła:

— A ja jestem Aniela Schmidt, siostra tutejszego proboszcza.

— W tym grobie, spoczywa zapewne ktoś z rodziny pani? — zapytał Egon łagodnie i ze współczuciem.

— O nie — odrzekła stara panna, układając gustownie róże na grobie — tu spoczywa obca mi osoba, cudzoziemka.

— Jakimże sposobem rzuciły ją losy w ten zakątek? — zapytał baron.

— Tego, niestety, nie potrafię panu wytłumaczyć — odczekła panna Aniela — staraliśmy się przez długi czas o rozwiązanie tej zagadki, ale teraz straciliśmy już zupełnie nadzieję, abyśmy się

kiedykolwiek dowiedzieli, kto ona była.

— Ale przecież owa pani musiała wymienić swoje nazwisko, gdy tu przybyła i mieszkanie sobie wynajęła? — mówił Egon, udając, że mu ta cała sprawa jest nieznaną.

— O nie, tę panią znaleziono już nieprzytomną w śniegu. Nie umiała ona ani słowa po niemiecku i na drugi dzień umarła.

— Czy nie zostawiła ona żadnych klejnotów, lub innych wartościowych przedmiotów?

— Dama ta miała kosztowny pierścień ślubny i suknie bardzo drogie na sobie, ale nie miała żadnych pieniędzy przy sobie, ani kolczyków, broszki lub bransoletki, zapewnie musiała je po drodze już gdzieś sprzedać.

— To szczególne, bardzo szczególne! — rzekł Egon, potem dodał:

— Czy jest zupełnie wykluczone, że to była jakaś zbiegła zbrodniarka?

— Alež, panie baronie — rzekła panna Schmidt z oburzeniem i zarumieniła się przy tym lekko, a potem dodała:

— Niech mi pan wybaczy, żem się przez chwilę tak uniosła, ale gdyby pan był choć chwilę jedną patrzył na tę anielską twarz zmarłej, byłby pan pojął, dlaczego to pytanie pańskie takie na mnie wrażenie wywarło. Ta obca prędzej była podobną do istot niebiańskich, niż do ludzi. Niemożliwe jest, aby popełniła coś niesłusznego lub niesprawiedliwego!

— Ta pełna współczucia i gorliwości obrona zupełnie obcej osoby, jest rzeczywiście godna szacunku — odrzekł Egon. — Człowiek szlachetny myśli zawsze dobrze o drugich.

Panna Schmidt zdawała się nie słuchać tego komplementu; wybrała z pomiędzy bluszczu zwiędłe liście, poprawiła zwieszające się pędy i skłoniwszy się uprzejmie Egonowi, odeszła.

Gdy się zabierała do odejścia, Egon uprzejmie zapytał:

— Czy łaskawa pani pozwoli, abym ją odprowadził? Muszę się pani otwarcie przyznać, że mam żyłkę literacką. Całkiem niespodzianie znalazłem tu zajmujący temat. Byłbym pani bardzo wdzięczny, gdyby mi pani zechciała wszystkie te szczegóły opowiedzieć. Z opowiadania pani możnaby napisać wzruszającą nowelę.

— Czy pan myśli, panie baronie, tę historię publicznie ogłosić? — pytała panna Aniela, widocznie zaniepokojona.

— A dlaczegożby nie, łaskawa pani? — odrzekł Egon z miną bardzo niewinną. — Pani ta nie pozostawiła przecież nikogo z bliższych, dla których to opowiadanie mogłoby być niemiłe.

— A gdyby było przeciwnie? — zapytała panna Schmidt.

— W takim razie, to całkiem inna sprawa i musiałbym odstąpić od zamiaru — odrzekł Egon — ale pani powiedziała mi, że jej krewnych nie można było nigdzie znaleźć.

— Rzeczywiście, ale ona zostawiła córkę — rzekła stara panna.

— Czy żyje to dziecko?

Panna Aniela dała potwierdzającą odpowiedź.

— Małą umieszczono zapewne w zakładzie dla sierot? — mówił Egon dalej



Dwa wspaniałe psy bernardyny, które widzimy na zdjęciu używane są w okolicach Alp jako zwierzęta pociągowe. Ich mądrość i wierność znana jest ogólnie — i dzięki tym zaletom uważane są za pewnego rodzaju pomoc sanitarną; uratowały one już wielu turystów, którzy ulegli nieszczęśliwym wypadkom w górach.

— ale mimo to, chętniebym przeznaczył pewną kwotę na jej utrzymanie. Czy zechciałaby pani być tak uprzejmą i dać tę sumę owemu zakładowi?

Powiedziawszy te słowa, podał pannie banknot, zawierający sto guldenów, gdyż wiedział już naprzód, że panna Schmidt tego datku nie przyjmie.

Przypuszczenie jego było całkiem słuszne. Panna Schmidt odmówiła mu stanowczo, oświadczając, że pozostałą córką zmarłej opiekują się bardzo starannie obcy ludzie.

— Ach, to całkiem do pani podobne — odrzekł Egon z zachwytem. — Ja już odgaduję, kto tu jest tak dobroduszny i stara się o biedną sierotę. Tą dobrodziejką mam tu przed sobą. Proszę pozwolić, abym ucałował rękę, która ochrania przed nędzą i biedą nieszczęśliwą istotę.

Już zrobił ruch, aby jej ucałować ręce, ale panna Aniela cofnęła je, zanim jeszcze swój zamiar mógł wypełnić i rzekła:

— Pan się myli, panie baronie, inni ubiegli mnie i dziecko adoptowali.

— A więc niech mi pani wymieni nazwisko tych szlachetnych ludzi — prosił baron usilnie — abym ich mógł odszukać i swoją cząstkę im dołożyć.

— Niech pan daruje, panie baronie — odrzekła stara panna — że prośbie pana nie mogę zadość uczynić, gdyż dałam słowo, że nazwiska tych ludzi nigdy nie wymienię.

— Nie chcę pani nakłaniać do złamania słowa, ale myślę, że wobec mnie powinna pani zrobić wyjątek, tym bardziej, że przyrzekam pani milczeć o tym na zawsze.

— Chętniebym to zrobiła, ale nie mogę tego uczynić, bo raz danego słowa nie łamię pod żadnym warunkiem.

Ten upór panny Anieli, popsuł humor baronowi. Myślał on, że wobec tych kilku komplementów panna Schmidt zmięknie jak wosk, a tym czasem widział, że te pochlebstwa chybiły celu.

Egon był zanadto dobrze wychowany, aby to rozczarowanie okazać i pocieszał się tym, że właśnie tu, jeszcze ktoś inny może go w tej tak ważnej sprawie poinformować.

Idąc powolnym krokiem obok swej towarzyszki rozmawiał z nią uprzejmie o obojętnych sprawach, doszli do furtki cmentarnej. Tu ukłonił Egon się głęboko pannie Schmidt, jakby damie z towarzystwa, zapewniając ją, że mu było bardzo przyjemnie ją poznać i odszedł w stronę zamku.

Ledwo tylko zniknął z oczu starej panny, zawrócił i poszedł do wsi.

Szedł powolnym krokiem przez niebrukowaną ulicę i rozglądał się uważnie wokoło, aby zobaczyć budynek szkolny.

Po krótkim szukaniu, spostrzegł Egon szkołę i zdążał ku niej. Dolatywał go stamtąd choralny śpiew czystych głosów dziecięcych, a że nie lubiał nigdy ćwiczeń muzycznych, podniósł obie ręce do uszu i przytrzymywał je z komicznie przestraszoną miną.

Nie zależało mu zupełnie na tym, aby poznać nauczyciela, bo nie zajmował się nigdy pedagogią, a z drugiej strony przypuszczał, że dawno już zapomniał historię zmarłej. Natomiast prawie pewnym był, że żona jego dobrze ją zapamiętała i dokładnie ją jeszcze opowiedzieć potrafi.

W następnej chwili zaś strzeliła mu do głowy taka myśl:

— Ten człowiek musi być jeszcze kawalerem, posada jego przecież jest tak źle płatna. Ale — pocieszył się znów — właśnie ci mężczyźni, którzy najmniej są w stanie utrzymać żonę, najprędzej się żenią.



Potężny Duce Mussolini z zamiłowaniem oddaje się sportowi narciarskiemu. Widzimy go tutaj w towarzystwie najmłodszego synka Romana.

Wchodząc po kamiennych schodach, myślał nad tym, pod jakim pozorem przedstawi się żonie nauczyciela.

Gdy tak stał przez chwilę zamyślony, otworzyły się drzwi z impetem i struga brudnej wody oblała piękny garnitur barona.

W tej samej chwili piskliwy głos kobiecy zawołał ze strachem:

— Jezus, Maria! Józefie święty!

Później trzasnęły drzwi i słychać było spieszne kroki.

Egon otrząsał się, jak oblany pudel.

— Do stokroć diabłów! — przeklinał baron wściekły ze złości.

Z miną, pełną obrzydzenia, spojrzał później na swą oblaną koszulę, na całkiem przemoczony surdut, skoczył dwoma susami na górę, otworzył szybko drzwi, popędził przez wąską, jednym okienkiem tylko oświetloną sionkę, służącą równocześnie za kuchnię i spiżarnię, gdzie spostrzegł podstarzałą już kobietę z dużym cebrzykiem w ręku.

— Czy tu jest zwyczajem przyjmować w ten sposób patrona szkoły? — krzyknął Egon na trzęsącą się z bojaźni kobietę. — Jestem baron Sturmfeder.

— Jezusie święty! — lamentowała kobieta — moja śmierć się zbliża!

Mąż mój zawsze mi mówi, że to szorowanie wpędzi mnie do grobu, a teraz dopiero widzę, że ma słuszność. Ach, gdybym tylko przypuszczać mogła, że pan baron zaszczyci nas swą wizytą, byłabym przez całą noc szorowała, aby jaśnie panu tak w drogę nie wleźć. Ach, co mój mąż na to powie! Nie mam nawet odwagi prosić pana barona o przebaczenie. Ale, gdyby pan baron zechciał powierzyć mi łaskawie swoje ubranie, to bym je prędko wyprała, wymaglowała i...

— Całkiem je zepsuła — uzupełnił baron gniewnie. — Wiem o tem dobrze, że kobiety nie umieją się obchodzić z garderobą męską.

— Żona biednego nauczyciela wiejskiego musi się i tego nauczyć — wtrąciła nieśmiało. — Gdyby pan baron zechciał na jedną godzinę tylko włożyć świąteczne ubranie mego męża, to naprawiłabym zupełnie szkodę, którą nieostrożnie wyrządziłam.

Przemoknięty do nitki baron pomyślał chwilę i przyszedł do przekonania, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko przyjąć propozycję tej kobiety, bo nie miał ze sobą drugiego ubrania. Zabrał tylko w drogę małą torebkę z najpotrzebniejszymi drobiazgami.

Musiał więc chcąc nie chcąc przystać na to i wszedł na prośbę przestraszonej i zrozpaczonej kobiety do pokoju.

Trzęsącą ręką położyła przed nim znoszone i wytarte ubranie swego męża i wyszła szybko z pokoju, aby baron mógł się przebrać.

— Jakie to wszystko obrzydliwe i przesiąknięte złym tytoniem — mruknął pod nosem.

Poczym otworzył drzwi.

Żona nauczyciela tymczasem podłożyła całe naręcze drzewa pod kuchnię i napełniła wannę letnią wodą. Następnie wzięła surdut, kamizelkę i spodnie barona, by je jak najstaranniej oczyścić.

Podczas tej roboty łzy spływały jej po policzkach, bo obawiała się, że rozgniewany baron wymówi jej posadę i popchnie ich przez to w największą nędzę.

— Czyście już długo tutaj? — spytał wreszcie dość uprzejmie baron.

— Na Nowy Rok będzie dwadzieścia lat, jak mój mąż jest na tej posadzie — odpowiedziała biedna kobieta. — Czekaliśmy z weselem, dopóki nie będzie miał kawałka chleba i bylibyśmy lepiej zrobili, gdybyśmy jeszcze dłużej czekali, bo nie musielibyśmy zaczynać z długami.

Boże litościwy! — pomyślał baron — teraz będę musiał wysłuchać całej historii życia tej głupiej osoby, tego mi tylko brakowało. Że te gadatliwe baby każdego obcego muszą wtajemniczać w swoje najskrytsze nawet tajemnice.

Nie chcąc jej jednak bardziej jeszcze onieśmielić — rzekł łaskawie:

— Więc w takim razie byliście już tutaj, gdy Herbertowie przyjęli ową obcą kobietę do swego domu?

— Rozumie się! — odpowiedziała żona nauczyciela z zapałem. — Karmiłam nawet sama Sylwię, dopóki się Herbertowie stąd nie wyprowadzili. Było to właśnie po śmierci mego małego Janka i chodziłam wtedy trzy razy dziennie na leśniczówkę, aby nakarmić tę małą dziewczynkę.

Jest to takie dziwne, żeśmy się nigdy nazwiska tej obcej kobiety dowiedzieć nie mogli, mimo, że leśniczy tyle pieniędzy na inseraty wydał.

Wydaje mi się jeszcze dziwniejszem, że ta obca kobieta nie miała przy sobie żadnych papierów, z którychby można było się dowiedzieć o jej pochodzeniu — mówił baron. — Musiała przecież mieć jakie takie papiery, bo bez nich nie przeszłaby przez granicę?

— To i dla mnie jest zagadką — rzekła żona nauczyciela, wykręcając i trzepiąc starannie suknie barona. — Nie mogłam się z początku pozbyć tej myśli, że jakieś ważne papiery musiały się znajdować w gorsecie obcej kobiety, bo wskazywała na nie, umierając. Obmacaliśmy jednak ten gorset później na wszystkie strony, ale nie mogliśmy żadnych papierów w nim odkryć.

Oczy Egona zabłysły. Ta wiadomość była dla niego nieocenionej wartości, by był święcie o tym przekonany, że papiery legitymacyjne rzeczywiście znajdować się musiały w gorsecie.

— Czyście ten gorset rozpruwali? — spytał od niechcenia.

— Nie, tegośmy nie zrobili — odrzekła zapytana — bo gdziekolwiek dotknęliśmy się gorsetu, wszędzie namacaliśmy rogi i stalki.

— A czy pani Herbert ten gorset schowała? — badał Egon dalej.

— Rozumie się — zapewniała — Herbertowa, schowała starannie każdy kawałek należący do nieboszczki do dębowej skrzyni.

— A skrzynię tę musiała Herbertowa pewno oddać jakiemu notariuszowi? — pytał baron zaciekawiony.

— Tego nie wiem! — odparła sprawozdawczyni.

Mówiąc to wyjęła czyste prześcieradło ze starej, zniszczonej szafy i zawinąwszy w nie mokre ubranie, raz jeszcze dobrze je wykręciła. Później przewróciła surdut, spodnie i kamizelkę na lewą stronę, przełożyła je jeszcze kawałkiem starego płótna i zaczęła każdy kawałek starannie i ostrożnie prasować.

— Żałuję tylko, że nie mogę wyprać jeszcze koszuli — zapewniała żona nauczyciela — ale co do bucików, to wyczyszczę je paradnie szczotką tak, że będą świeciły się, jak nowe.

— Dobrze, dobrze! — mruknął Egon, zły za parę, wydobywającą się z mokrego ubrania pod wpływem gorącego żelazka. Byłby przeklął w duchu całą tę nieszczęsną wyprawę, gdyby nie cenne wiadomości, które niespostrzeżenie wyciągnął od żony nauczyciela.

Ta ostatnia była widocznie na pół oszołomiona z obawy i dokładała wszelkich starań, aby ubranie dobrze wyprasować.

Udało to jej się też zupełnie, po długiej i żmudnej pracy.

Ze słabym uśmiechem podała baronowi po skończeniu ubranie z którego ulatniała się jeszcze gorąca i wilgotna para.

— Proszę teraz pokornie o trzewiki jaśnie pana — rzekła bojaźliwie.

Baron zdjął niechętnie obuwie, a strwożona kobieta wyszła z nimi i po chwili wróciła niosąc w ręku oczyszczone.

— Panie dobrodzieju — prosiła nieśmiało — proszę mi wybaczyć moją niezręczność. Proszę nie unieszczęśliwiać mego męża i moich biednych dzieci. Nie zrobiłam przecież tego umyślnie!

— Dobrze, dobrze! — rzekł i ręką zrobił ruch przeczący. Wciągnął z trudem ciasne buciki na nogi i odszedł z niedbałym, wielkopańskim ukłonem, nie rzuciwszy zrozpaczonej kobiecie pocieszającego słowa.

Po odejściu jego, biedna kobieta padła, złamana i przybita troską o jutro, z głośnem łkaniem na krzesło. Zakryła twarz fartuszkiem i płakała tak rzewnie, jak gdyby jej serce pęknąć miało.

Nie spostrzegła nawet, że dziatwa szkolna wyszła z krzykiem z klasy i że drzwi od pokoju otworzyły się i wszedł cicho starszy mężczyzna.

Przystąpił do niej, odchylił fartuszek od jej twarzy i spytał czule:

— Co ci się stało, żono?

Zaczęła głośno szlochać, a wreszcie wykrztusiła:

Unieszczęśliwiłam ciebie i dzieci! Popadniecie w nędzę z mojej winy.

— Nie rozumiem ani słowa — rzekł kiwając głową.

Zaczęła mu w urywanych słowach, z głośnym płaczem, opowiadać co się zdarzyło.

Wysłuchał uważnie jej słów.

— Koniec końcem oddalą cię! — skończyła sprawozdanie, płacząc coraz bardziej.

— Pociesz się tym — przemówił do niej nauczyciel łagodnie — że to nie jest powód, dla którego by mnie oddalić mogli. Przyjemnem dla mnie to nie jest, ale po pierwsze, baron nie jest jeszcze patronem naszej szkoły i otrzyma godność tę dopiero, gdy obejmie spadek, po drugie zaś nie mogą mnie po dwudziestoletniej służbie ni stąd ni zowąd oddalić. Najgorszym w tej sprawie jest to, żeś baronowi wypaplała nieoględnie tajemnicę, którą Herbertowie tak troskliwie strzegą.

— On i tak już ją znał! — krzyknęła żona. Gdyby był wszystkiego nie wiedział, nie byłby tak swobodnie o tym mówił. Czy myślisz, że byłabym zdradziła tajemnicę Herberta? Mówiłam tylko o tym z panem baronem, o czym już wiedział.

Gdyby wiedziała, jak gorliwie baron zajmował się tą sprawą, byłaby inaczej mówiła.



Tafla lodowa jest nieraz terenem arcyzabawnych scen, jak to widzimy na wyżej zareprodukowanej fotografii

ROZDZIAŁ LXII.

Mówiliśmy ostatnio o leśniczym Herbercie i jego przybranej córce w chwili, gdy naradzali się nad tym, w jaki sposób najprędzej i najpewniej pomóc hrabiemu do odzyskania wolności.

— Gdyby matka nie była tak osłabiona i nie musiała się szanować — rzekł Herbert — byłoby to najłatwiejszą rzeczą w świecie. Ale jestem przekonany, że ona zachoruje na nowo, jeśli jej nie zaoszczędzimy każdej najmniejszej irytacji. Ona nie śmie o niczem wiedzieć.

— Musimy sobie więc pomóc kłamstwem, chociaż to przykre — odrzekła Sylwia — wynajdziemy jakąś zresztą wymówkę, któraby uniewinniła naszą długą nieobecność.

Herbert, poczciwy, prostoduszny człowiek, który brzydził się każdym kłamstwem, zmarszczył czoło, lecz mimo wstrętu jego do obłudy, musiał przyznać, że w tym wypadku bez wykrętów się nie obejdzie.

Po chwili namysłu odezwał się:

— Najpierw damy się matce dobrze wyspać, a gdy się zbudzi, powiem jej, że stary Hartung przysłał mi przez posłańca list, w którym mi donosi, że będzie w przejeździe w mieście i że chciałby się koniecznie ze mną i z całą rodziną zobaczyć. Poczciwe matczysko, która zawsze o tym myśli, aby nam jakiejś przyjemności przysporzyć, będzie nas pewnie gorąco namawiała, abyśmy pojechali do miasta na spotkanie. Z powodu swego osłabienia nie będzie mogła z nami pojechać. My zaś uspokoiwszy ją, nie pojedziemy do miasta, tylko do Felseg.

— Sami, bez pomocy? — pytała Sylwia z bojaźnią kochającego serca.

— Niezupełnie sami — uspakajał ją Herbert — strzelcy i obaj nasi gajowi będą na nas czekać koło kaplicy i odprowadzą nas do Felseg. Nie jestem tak silny, abym sam podjął się walki z Alojzym, który w całej okolicy słynie z ogromnej siły i który będzie miał może jeszcze silną pomoc w razie potrzeby. Przygotuj się tymczasem do drogi, ja zaś uwiadomię moich podwładnych, że potrzebuję ich pomocy.

Z wstrzymywanym oddechem wysłuchała Ilona tej rozmowy, a potem pobiegła jak sarna.

Wszystko zależało od tego, aby wyprzedziła Herberta i jego towarzyszy o wielki kawał drogi. Musiała ostrzec Alojzego, by więzień został natychmiast usunięty, nim jeszcze wybawcy jego do zamku Felseg przybędą. Przeskakiwała więc przez rowy i biegła nieustannie najkrótszą, ale też i najuciążliwszą drogą ku zamkowi.

Co ją to obchodziło, że suknię jej targały ciernie i kolce.

Byłaby nawet chętnie przebyła morze ognia, aby tylko osiągnąć swój cel, aby tylko połączyć się z Wernerem.

Gdyby Sylwia ocaliła hrabiego, to Ilona musiałaby się pozbyć najmniejszej nadziei zostania kiedykolwiek hrabiną Wildenstein. Namiętna cyganka wolałaby poświęcić życie, honor i duszę swą, zamiast widzieć nad życie ukochanego mężczyznę, jako męża swej znienawidzonej rywalki.

Serce biło jej gwałtownie z szybkiego i bezustannego biegu, ale nie ustawała ona ani na chwilę. Nagle przyszła jej błyskawicznie myśl:

— Co będzie, jak nie zastanę Alojzego? — Sama przecież nie będę w stanie wydostać hrabiego Wernera z więzienia.

Obawa ta pozbawiła ją prawie tchu.

— Prędzej podpalę zamek Felseg na wszystkich czterech rogach równocześnie i zginę z Wernerem w płomieniach, niż zezwolę, aby ta znienawidzona dziewczyna została kiedyś hrabiną Wildenstein! — myślała pieniąc się na samą myśl.

Suknia jej zaczepiła się na krzaku bodiaków, ale zdarła ją niecierpliwie, tak, że duży kawał materii został na kolcach i pospieszyła dalej, jak gdyby chodziło o jej życie.

Gdy zobaczyła wieże zamku Felseg, wydała okrzyk, podobny do wrzasku



Jak wiadomo, Japonia jest opiewana przez poetów, jako kraj wiecznie kwitnących wiśni, tymczasem kamera aparatu fotograficznego zdradziła nam, że i w Kraju Wschodzącego Słońca bywa różnie — czasem, jak na załączonym wyżej zdjęciu.

sowy nocnej, rzucającej się na swoją zdobycz.

Okrzyk ten powtórzyła trzy razy w krótkich odstępach.

Był to znany Alojzemu sygnał, który oznajmiał jej bliskość.

Nagle zabłysły radośnie oczy cyganki, bo zobaczyła silną postać kasztelana, który na okrzyk jej odpowiedział głośno i dobitnie.

Jak sarna skoczyła ku niemu.

— Oni nadchodzą! — wołała z daleka — wyprowadź go stamtąd, natychmiast. Zatrzyj ślady jego pobytu w więzieniu.

— A skądże ty wiesz, że on jest w więzieniu? — zapytał kasztelan, a rumiane zawsze jego policzki zbladły jak ściana.

Ilona tupała nogą o ziemię.

— Teraz nie ma czasu na pytania — rzekła — dokąd chcesz go przenieść?

Alojzy stał jak osłupiały, a z oczu jego błyskał dziki ogień.

— Do drewutni — krzyknęła Ilona — musisz go schować poza drzewo, tam ustawione.

— Ależ nie mogę go tam skryć — oświadczył ponuro Alojzy.

— Ja ci w tym chętnie pomogę — krzyknęła cyganka — ale musisz mu przed tym oczy zawiązać. On nie śmie mnie widzieć.

Chodziło jej o to, aby Werner nie dowiedział się, jaką haniebną rolę odgrywała w tym strasznym, popełnionym na nim, kłamstwie.

— Dlaczego on nie ma cię widzieć? — zapytał Alojzy nieufnie.

— On nigdy mi nic złego nie zrobił — mruknęła — musiałabym się przed nim wstydzić, że mogę się zdobyć na takie okrucieństwo względem niego.

Wytłumaczenie to nie całkiem go zadowoliło, rzucił jej podejrzliwe spojrzenie, ona jednak ciągnęła go dalej zarumieniona ze zmęczenia.

— Jak będziesz tak długo zwlekał — rzekła — to oni nadejdą, nim się spostrzeżesz i na nic będzie przybycie moje, przy którym życie swoje po karkołomnych drogach narażałam.

— Chodź! — rzekł wreszcie Alojzy i zamknął za sobą ostrożnie drzwi.

Zdjął ze swego łóżka duży wełniany kocyk i dał go Ilonie.

Do dużej swej kieszeni schował nicianą chustkę, którą wprzód namoczył, i silny sznur konopiany.

— Musi sam pójść aż do drewutni — mruknął — to nie jest na moje siły nieść go po drabinie.

Cyganka schowała się w kącie, a kasztelan podążył do więzienia, jak tylko mógł najszybciej.

Otworzył je, spuścił drabinę i krzyknął swymu więźniowi:

— Panie hrabio! Proszę na górę! Baron nie płaci mi obiecanej sumy, a ja nie chcę, aby mnie miał za durnia! Proszę mi obiecać, że pan hrabia nie będzie się na mnie mścił, a puszczę pana na wolność!

Okrzyk radości nieszczęśliwego człowieka odpowiedział mu na to.

— Czy Bóg wzruszył twoje serce? — zapytał Werner drżącym ze szczęścia głosem — jakże ci mam podziękować za to, żeś się nade mną zlitował? Będę cię odtąd uważał za swego przyjaciela i tak suto cię wynagrodzę, aby twe troski i zmartwienia na zawsze były obcymi.

Mówiąc to wszedł na górę po stromej drabinie. Radość i nadzieja dodały mu nowych sił. Oczy jego promieniały, a blade i wycieńczone jego policzki okryły się rumieńcem.

Zbliżył się do Alojzego i wyciągnął ku niemu prawicę, ten jednak udawał, że nie widzi wyciągniętej ręki.

Pospiesznie przeszedł przez wszystkie pokoje; kasztelan postępował przed nim i popatrzył prędko na drogę prowadzącą z Königswalden do zamku.

Ale na drodze nie było jeszcze nikogo widać.

Uspokojony otworzył bramę i wypuścił Wernera na dwór. Chłodne powietrze jesienne owiało więźnia przyjemnie, zaczerpnął go chciwie i popatrzył z zachwytem wokoło siebie.

— Jaki piękny świat! — szepnął z podziwem.

W tej chwili dał Alojzy cygance znak. Wysunęła się ze schowku i podała swymu wspólnikowi ciężki koc.

Prędkim, a zręcznym ruchem zarzucił Alojzy sznur na szyję ufającego mu hrabiego, który niczego złego się nie spodziewał i mało go nie udusił.

Z błyskawicznym pośpiechem związał mu ręce i nogi, i mokrą lnianą chustką zakneblował mu usta.

Później zwolnił sznur, który mu zarzucił na szyję, następnie zawinął go całkiem w koc i skinął na Ilonę.

Podskoczyła chętnie, otworzyła drewutnię i we dwoje zanieśli tam swoją, całkiem bezbronną ofiarę.

Położyli go na ziemię, a Ilona wznosiła przed nim duże wiązki chróstu, jedne na drugich, aż do sufitu drewutni.

Potem oddalili się śpiesznie i Alojzy zamknął drewutnię a klucz schował do kieszeni.

Czatującym wzrokiem popatrzyła Ilona na ścieżkę. Jej bystre oko zobaczyło na niej w oddali kilka ciemnych punktów.

— Prędko! — krzyknęła ochrypłym głosem na kasztelana.

Jak furie popędzili oboje ku domowi, który za sobą zamknęli.

Tam zaczęli się oboje krzątać z gorączkowym pośpiechem.

Wyjęli szybko pościel z łóżka więziennego, i schowali je do łóżka kasztelana a umywalnię jego, wodę i żywność znajdującą się w więzieniu przetransportowali do kuchni.

Ilona przejrzała starannie każdy kącik więzienia, aby nie został najmniejszy ślad pobytu Wernera.

Wreszcie zdawało jej się, że już wszystko usunięte.

Obydwoje złoczyńcy opuścili teraz celę.

Alojzy podciągnął drabinę, schował ją do szafy, zasunął płytę kamienną i rzekł z diabelskim uśmiechem:

— Teraz niech przychodzą!

— Ale mnie nie mogą tu spotkać — oświadczyła Ilona — schowam się więc w ogrodzie.

Uciekła pośpiesznie.

Alojzy usiadł przed bramą, zapalił sobie fajeczkę i oczekiwał z pozornie spokojną twarzą przybycia niepożądanych gości.

My zaś wróćmy do naszych przyjaciół na leśniczówkę.

Pani Herbert otworzyła oczy pokrzepiona posilnym snem i rzekła czule do Sylwii, która siedziała obok niej:

— Dziecko! Ty wcale nie odchodzisz ode mnie? Zgorzkniejesz zupełnie, gdy nie będziesz miała innego towarzystwa, jak swoją chorą matkę!

— Czas już, abyś i o swoim zdrowiu pomyślała, inaczej poczujesz wkrótce skutki tego szkodliwego trybu życia.

— Masz słuszność, Magdaleno! — odpowiedział leśniczy, który właśnie wszedł do pokoju. — Pomyśl sobie, przyjechał posłaniec od Hartunga, który nas wszystkich bardzo usilnie zaprasza do miasta. Co za szkoda, że jesteś

jeszcze cierpiącą i nie możemy prośbie jego zadość uczynić.

— Musicie jednak koniecznie zjechać się z Hartungiem — zawołała pani Herbert żywo — Nie chcę abyście przeze mnie z tego spotkania zrezygnowali. Ja położę się tu spać, Katarzyna może sobie z kołowrotkiem siąść przy mnie i dawać mi lekarstwa, jak przyjdzie czas.

Kłaniajcie się Hartungowi serdecznie w moim imieniu i spieszcie się z wyjazdem, abyście mu nie dali długo czekać na siebie.

— Czy chcesz doprawdy tak długo sama zostać, mateczko? — pytała Sylwia schylając się czule nad dobrą kobietą.

— Naturalnie, że chcę! — oświadczyła leśniczyna wesoło. — Pośpiesz się z ubraniem Sylwio!

— Czy mam ją wziąć ze sobą? — spytał leśniczy.

— Oczywiście — odpowiedziała — ona musi znów wejść między ludzi. To dobrze jej zrobi!

— Ale czy ci nie będzie przykro samej zostać? — spytał Herbert zamyślony.

— Będę rozmawiała z Katarzyną — obiecywała mu żona — zrób to dla mnie i nie mów więcej o tym. Cieszę się, że się ubawicie, a radość jest najlepszym środkiem wzmacniającym dla chorych.

Leśniczy rzucił swej przybranej córce spojrzenie pełne znaczenia.

Sylwia ucałowała matkę.

— Jeśli sobie tego życzysz, kochana matko, to pojedziemy.

— Bardzo dobrze! — zawołała Herbertowa.

Zostawiono chorą pod opieką starej sługi i po czułem pożegnaniu leśniczy odjechał z córką.

Sylwia nie czując na sobie badawczego wzroku matki, nie mogła już powstrzymać twarzy w spokoju i rysy jej przybrały wyraz bólu, a ręce zacisnęły się kurczowo.

Z ust wyrwało jej się ciche westchnienie.

— Odwagi dziecko! — upominał Herbert — i ufaj Bogu.

— Ach, ojcze drogi — byłam już pełna nadziei, a teraz znowu opanowuje mnie rozpacz. Jak ołów ciąży mi coś na sercu, daj Boże, aby Wernerowi nic złego nie przydarzyło się.

— Uchowaj Boże, nie traćmy nadziei — pocieszał leśniczy — bez woli Bożej włos mu z głowy nie spadnie. Bóg skrzydła swej opieki dobroczynnej roztoczy nad nim.

Sylwia z wdzięcznością patrzyła na mówiącego.

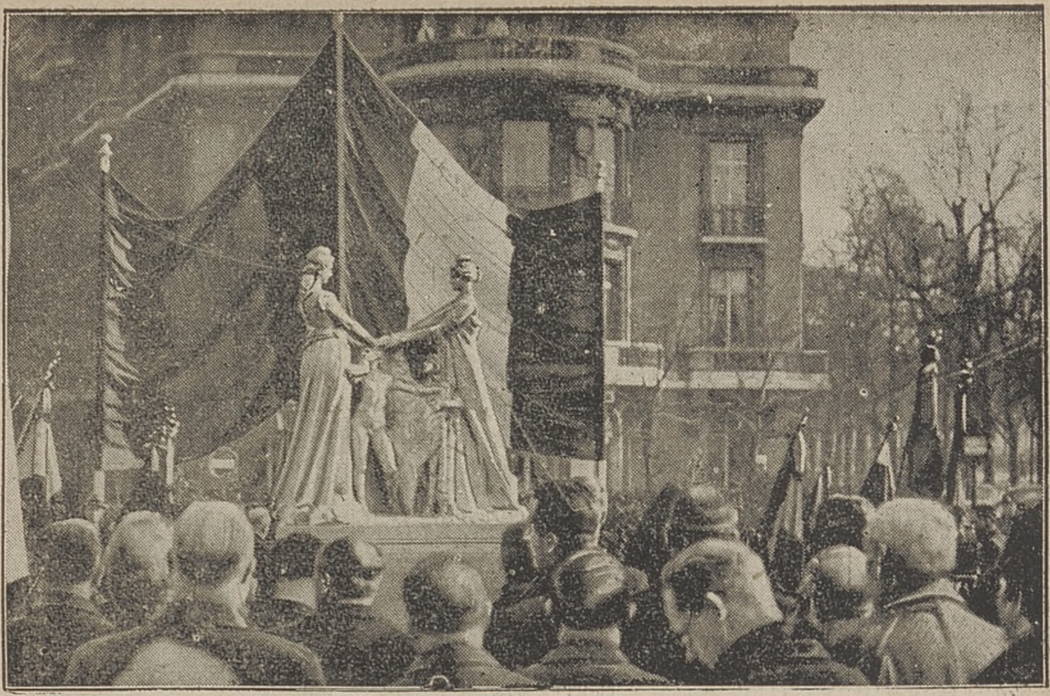
Chcąc ją rozerwać, Herbert pokazywał jej różne rzeczy po drodze, ale nic nie przykuwało uwagi Sylwii.

Przy kapl'icy czekało na nich dwuch podleśniczych z dwoma gajowymi.

— Niech wóz tu czeka — zawołała Sylwia — dróżką, nad przepaścią Czartowskiego Jaru zajdziemy prędzej, niż zajechalibyśmy gościńcem do Felseg.

Zeszli więc na ziemię i cały orszak posuwał się w kierunku Felseg.

Przechodząc obok Czartowskiego Jaru, rzuciła Sylwia okiem w bezdenną otchłań.



W Paryżu nastąpiło odsłonięcie pomnika, wzniesionego ku pamięci tragicznie zmarłej belgijskiej Królowej Astrid.

Mimowoli szeptała dziękczynną modlitwę, że tam Wernera nie znalazła zmiażdżonego.

Oprócz niej i Herberta nikt nie wiedział w całym orszaku, po co właściwie idą do Felseg.

Ale obecność Sylwii i wiele mówiący wyraz jej twarzy pozwalał im domyślać, że chodzi znowu o odszukanie Wernera.

Patrzyli na nią z ogromnym współczuciem.

Droga wydawała się stęsknionej Sylwii ogromnie długą, mimo, że przez cały czas pochodu wcale nie odpoczywano.

Herbert dodawał jej otuchy i odwagi.

— Da Bóg — mówił — to niebawem uwolnimy twego najdroższego. Za kilka chwil będziemy w zamku Felseg.

Sylwia tak była wzruszoną, że nic nie mogła odpowiedzieć.

Z wdzięcznością tylko uścisnęła rękę starca.

— Oto Alojzy siedzi i pali fajkę — zawołał gajowy — temu jest dobrze. Cały Boży dzień leży brzuchem do góry i nic nie robi.

— On nie powinien być tutaj, ale w kryminale, ten przeklęty kłusownik — zawołał drugi gajowy.

Leśniczy skinieniem ręki nakazał milczenie, bo w rzadkiem górskim powietrzu, głos roznosił się daleko i Alojzy mógł usłyszeć.

Gajowy umilkł.

Kasztelan wstał, zobaczywszy z daleka gości i wyszedł naprzeciw nich.

— Co za honor dla mnie — zdziwił się. — Czem mogę służyć moim gościom? Mam dobrą anyżówkę, może państwo pozwolą?

— Nie po to przyszliśmy — odpowiedział leśniczy — chcemy dokładnie zbadać podziemia zamkowe.

— Podziemia zamkowe? Tu? — udał zdziwienie Alojzy — tu?

— Tak jest — pod ostatnim pokojem na skrzydle zamku — odparł leśniczy.

— Proszę, niech państwo wejdą — zapraszał kasztelan uprzejmie, szeroko otwierając drzwi. — Całe lata tu żyłem i nie wiedziałem o tem, że tu coś jest — a to dobre!

Towarzystwo przeszło cały szereg pokoi, aż do ostatniego.

Tu Sylwia wskazała na środkową płytę na podłodze i rzekła:

— Ta płyta przesuwa się, proszę ją odsunąć.

Natychmiast jeden z gajowych ukląkł i zabrał się do przesuwania.

Po kilku usiłowaniach granitowa płyta odsunęła się nagle i czarna otchłań ukazała się zdziwionym oczom patrzących.

— Dawać drabinę! — zawołał leśniczy, nie zwracając na to uwagi.

Natychmiast przyniesiono z podwórza drabinę i spuszczono do piwnicy.

Sylwia zeszła na dół pierwsza i zapaliła natychmiast świecę.

— Werner! Wener! Najdroższy! — wołała, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Herbert poszedł za nią.

Bystrym wzrokiem patrzył w każdy kąt.

Te zimne ściany mogły opowiedzieć niejedno, od czegoby im serca pękły — ale pozostały nieme.

Podleśniczy i gajowy zeszli teraz na dół i dokładnie przeszukali całą piwnicę, dotykali się ścian i podłogi, szukając, czy się żadna z płyt granitowych znów nie przesunie — czy nie otworzy się znowu jakie nowe przejście.

Nigdzie jednak nic podejrzanego nie znaleźli.

— A jednak tu ktoś mieszkał — zawołała Sylwia. — Tu tak czyściutko, że musiał ktoś się o to starać. Inaczejby tu wyglądało, gdyby tu od wielu lat nikt nie zaglądał. Proch byłby tu wszędzie i kurz!

— Skądżeby się tu wziął kurz w tak szczelnie zamkniętym schowku — odpowiedział kasztelan, wzruszając ramionami — przysiągłbym na to, że może sto lat noga ludzka tu nie postała.

— Ale tu czuć najwyraźniej ocet i kadzidło — zawołała Sylwia — chyba nie stąd, że przed stu laty te ściany skrapiano octem i w piwnicy kadzono.

— Ale ja mam także dobry węch — bronił się kasztelan i nie czuję ani octu, ani kadzidła.

— Ja jednakże czuję — zapewniał teraz leśniczy — najwyraźniej czuję — tak jest — dodał pociągając nosem.

— Ależ państwo się mylicie — odpowiedział Alojzy, w kuchni mojej jest zapach octu, i niedawno kadziłem w niej, to może dym dostał się teraz tutaj. Ja nawet nie miałem pojęcia o tem, że tu są takie podziemia, a oprócz mnie, żywej duszy nie ma tu na zamku. Więc kto tu mógł być właściwie? Państwo się mylą!

Sylwia drżącą ręką wskazała na łóżko, którego Alojzy nie zdążył zabrać i rzekła:

— A jednak tu przecież ktoś musiał mieszkać. Pocóżby stało to łóżko i ten kamienny stół?

— A ja nie mówię, że nie mieszkał — spokojnie odpowiedział kasztelan. W dawnych czasach było tu więzienie i z owych czasów pochodzi właśnie to łóżko i ten stół.

— Ach! — zawołała zrozpaczona Sylwia, padając na kolana przed tym człowiekiem bez serca. — Daj się ubłagać. Powiedz, gdzie jest hrabia Werner! Przysięgam ci, że nietylko nic ci nie będzie, ale że nawet sowite, królewskie dostaniesz wynagrodzenie.

Błagalny ton zrozpaczonej dziewicy, wzruszył na chwilę kamienne serce tego zbrodniarza. Już wahał się, czy nie zdradzić tajemnicy.

Egon oszukiwał go, natomiast ta piękna dziewczyna z pewnością dotrzymałaby danego słowa. Może dobrze wyjdzie na tem, jeżeli tajemnice zdradzi.

Gdy się tak namyślał, usłyszał nagle bardzo lekki szelest.

Spojrzał w górę i zobaczył Ilonę, która dawała mu znaki jakieś, jakby go przestrzegała.

Z demonicznym ogniem oczy jej wlepiły się w niego.

Nad nim oczy kochanej cyganki, przed nim na kolanach zakochana Sylwia, jak anioł odciągająca go z drogi wiodącej do piekła.

Zwyciężył diabeł u góry.

— Nie wiem — rzekł ostro — co panienka chce ode mnie. Panienka tak mówi, jak gdybym gdzieś schował pana hrabiego. Wypraszam sobie podobne podejrzenia. I tak jestem dość nieszczęśliwy, od dzieciństwa niezasłużenie cierpiałem i wprost znieść nie mogę takich gadań.

Sylwia patrzyła nań badawczo, jakby czytała mu w duszy.

Alojzy! — rzekła uroczystym tonem — a czy przysięgniesz mi, że nie wiesz, gdzie się znajduje hrabia Werner?

— Niech mnie tu na tym miejscu szlak trafi, że nie wiem — zaklął się kasztelan. — Jak znikł stąd 17 lipca, tak go dotychczas oko ludzkie nie widziało. Niech mi kruki oczy wykolą, jeżeli kłamię.

— Pan Bóg to osądzi! — zawołała Sylwia — Bóg słyszy tę przysięgę, i jeżeli



W berlińskim ogrodzie zoologicznym ujrzało światło dzienne małe żyrafiątko, które widzimy na zdjęciu z swoją mamusią, noszącą imię „Anny Lizy”.

krzywo przysiągłeś, ukarze cię z pewnością.

Wstała powoli i zmęczonym krokiem zabrała się do odwrotu. — Cała nadzieja spełzła na niczem, a serce jej było złamane.

Herbert z całym orszakiem poszedł za nią, został tylko najmłodszy podleśniczy i kredą pisał na ścianie kamiennej:

7-go października roku 1887 szukaliśmy tu napróżno naszego pana, zaginionego hrabiego Wernera Wildensteina. Najpiękniejsze niebieskie oczy płakały tu za nim.

Max Zierbold,
podleśniczy.

Napisawszy to, prędko pospieszył za tamtymi.

Sylwia mechanicznie szła przez zamek.

Na dziedzińcu nagle przeszło jej przez myśl, że Werner jednak może być w pobliżu.

Ile tchu jej starczyło nabrała w płuca powietrza i najdonośniejszym, na jaki stać ją było głosem, zawołała imię Wernera, aż echo powtórzyło je tysiąckrotnie.

Potem wstrzymując oddech czekała odpowiedzi, ale nadaremnie.

Światło nadziei, które rano jej zaświtało, teraz zgasło, pozostawiając czarne ciemności rozpaczy.

W niemej zgryzocie podniosła w górę ręce, prosząc Boga o śmierć i zakończenie cierpień.

Herbert zgadywał, co się z nią dzieje i zaprowadził ją napowrót w zacisze leśniczówki, gdzie miłość rodziców usiłowała zagoić rany, zadane jej sercu przez nielitościwy los.

Okrucieństwo kasztelana stokroć srożej niż ją, dotknęło nieszczęśliwego Wernera.

Jej zabrało tylko nadzieję, jemu zaś wolność, szczęście, życie, które już prawie odzyskać spodziewał się, gdyż nie przypuszczał, że Alojzy tylko tak okrutnie, bezlitośnie go oszukał.

Miłość, szczęście, wolność i życie już odczuwał znowu, a naraz takie straszne rozczarowanie.

To odebrało mu siły.

Alojzy zdradził go haniebnie, związał, usta zakneblował i z pomocą cyganki zaniósł do szopy.

Leżał tam bezsilny, głosu nie mogąc wydobyć, dusił się prawie.

Kołdra, w którą był zawinięty, oddychanie mu jeszcze utrudniała i nie dopuszczała do niego żadnych odgłosów.

Mimo to, że nastawiał uszu, nic zgoła nie mógł usłyszeć.

Wiedział tylko, że Alojzy wywabił go z piwnicy dlatego, bo się obawiał, że tam go będą szukać i dzika rozpacz go ogarnęła na myśl, że jego przyjaciele, chcąc go wybawić, przyjdą i więzienie jego znajdą puste, stracą wszelki ślad po nim i może zaprzestaną poszukiwań.

Jakież piekielne przechodził męki, gdy nagle mimo wszystkiego, usłyszał głos rozpaczliwy Sylwii, wołającej jego imię; nie mógł się odezwać, nie mógł odpowiedzieć.

Znowu była tuż, tuż, prawie przy nim i on nie mógł jej dać znaku życia.

Najrozpaczliwsze wysiłki, aby się wydobyć z więzów, spełzły na niczem. Tylko sznury wrzynały mu się w ciało głębiej jeszcze i raniły go.

Krew uderzyła mu do głowy i do serca, pot występował ze wszystkich porów w ciele, a oczy jego ciskały błyskawice.

Był taki rozdrażniony, że każdej chwili mógł paść rażony apopleksją.

Gdyby teraz wolny od więzów stał przed Alojzym, rzuciłby się na niego i zabiłby go jak psa.

Ale Alojzy wyprowadzał teraz Sylwię z zamku, śmiejąc się w duchu, że się łotrostwo udało.

Wróciwszy zastał już Ilonę.

Rzuciła się na niego zaraz z wymówką.

— Ośle jakiś — łajała go — nie wiele brakowało, a byłbyś się wygadał. Widzę, że cię ciągnie do kryminału i na szubienicę, ty idioto. Tak, udajecie zawsze mądrzejszych, niż my, kobiety, a jak przyjdzie co do czego, to wam rozum ucieka w pięty.

Dziękuj Bogu, żem cię przestrzegła, bo nie byłbyś jutro już pewnym swego życia.

— Nieprawda! — bronił się Alojzy — byłbym może bardziej się wzbogacił.

— A jakże! — ze złością zawołała Ilona — byłbyś dostał piętnaście lat kryminału, albo stryczek na szyję!

— To pytanie — odparł Alojzy — może i coś innego.

— Co innego? — drwiła Ilona. — To jak nie stryczek, to chyba kark pod topór kata byłbyś położył.

— Daj mi spokój — odpowiedział kasztelan.

Niezgrabnie chciał ją objąć, ale ona wywinęła się zręcznie, jak jaszczurka i uciekła.

Ciąg dalszy na str. 113.

# Kraina szczerości i naszych trosk

*Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu*

## Dobre rady p. Zofji

### NIENAWIŚĆ I MIŁOŚĆ — NIETYLKO TEMATEM POWIEŚCI

*„Marita"*. Nienawidzisz i kochasz! Moja Dobra Dziewczynko — pierwszego nie rozumiem zupełnie.

Zastanów się, czy w tym jest jakiś sens, aby nienawidzieć, skoro ktoś nieświadomie sprawił Ci przykrość. Wytłumacz sobie, Kochanie, rozsądnie całą sprawę i następnie odpowiednio ustosunkuj się do niej. Przede wszystkim postaraj się zapomnieć i wyzbyć wszystkich przykrych myśli, bo zawód, który Cię spotkał, wyda Ci się napewno w przyszłości nic nie znaczącym epizodem — zobaczysz.

Marzysz o scenie! Klasztor, scena, królewicz z bajki — to zwykłe marzenia wczesnych lat młodości, marzenia, które mijają bez śladu i giną z biegiem lat — nieszkodliwe one, ale miłe — dlatego też nie mówię Ci, że źle robisz — marząc, tylko zwracam uwagę, aby jak najmniej marzyć o rzeczach, które spełnić się nie mogą, a natomiast więcej o takich, które dadzą zrealizować się i które możemy zdobyć własną siłą i wytrwałością.

Przyjmij słowa moje, „Marito", życzliwie i napisz znowu. Myślę, że pokochamy się i z biegiem czasu będziemy rozumiały się coraz to więcej.

Urywek z listu Twego zamieszczam:

„Erosie", może napiszesz do mnie?

Ślę pozdrowienia: „Dzikiej Cygance", „Ryśce D.", „Maleńkiej Dzidzi", „Cygance z smętnymi oczyma", „Te-Em" i „Ikarowi III".

Na zakończenie zapytuję, czy może mi ktoś wypożyczyć powieści: „Porwana w noc poślubną" i „Zagadka nocy"?

### „GDZIE JEST ŻYCIA TREŚĆ I GDZIE, ALBO W CZYM JEJ SZUKAĆ?"

*„Carmen"*. Oczarował mnie list Pani, a jeszcze więcej mój „portret", który w interpretacji Pani wypadł mniej więcej tak:

„Czy wie Pani, jak sobie Panią wyobrażam? Jak Normę Schearer, która łączy w sobie tyle słodkich cech kobiecości. Zgadłam, czy nie?"...

Nie, Droga „Carmen"! „Najlepiej byłoby przyjechać i zobaczyć Panią!" — piszesz dalej. A więc czekam! Chętnie uścisnę Pani ręce i podziękuję osobiście za tę żywą sympatię, którą mnie Pani darzy. Urywki z liściku oddaję do przedruku:

„Czy ktoś z „Krainy" mógłby mi pożyczyć następujące książki: „Nana", „Annę Kareninę" — Lwa Tołstoja i „Wędrówkę Joanny" — Ewy Szelburg Zarembiny? „Dobroczyńca" pozyska moją dozgonną wdzięczność!

„Heleno"! Czy smakowały czekoladki? Czekam na wiadomości z Lublina!

„Ikar III" jest bardzo tajemniczy — dlaczego?

Panie por. W. W-cki, czy jedzie Pan do N-dka?

„Słodką Danuśką" jestem zachwycona!

Pozdrawiam Sympatyczki i Sympatyków, oraz proszę o listy. Kto podyskutuje ze mną na pytanie: „Gdzie jest życia treść i gdzie, albo w czym jej szukać?"

### PODZIĘKOWANIE

*„Stenia ze Żnina"* śle moc pozdrowień „Czarnulce ze Świecia" i równocześnie dziękuję serdecznie za szybkie załatwienie sprawy, o które prosiła. Wkrótce napisze znowu, a narazie całuje oczęta.

### MOŻE...

*„Bohun"*. W sienkiewiczowskiej „Trylogii" Bohun odegrał nie bardzo piękną rolę, ale może jego imiennik, który zapukał dzisiaj do „Krainy", okaże się mniej wojowniczym i srogim. Zresztą wskazuje na to poniższy, wcale miły liścik:

„Zachęcony wielką popularnością „Krainy" zdobywam się na odwagę i przedstawiam się, jako nowy członek wielkiej „Rodzinki". Jestem przystojnym, wysokim blondynem o szarych oczach. Sport ma we mnie zapalonego zwolennika. Przepadam za kinem, muzyką i śpiewem. Może napisze do mnie ktoś z Sympatyków „Krainy", mający takie same upodobania. Nie jestem entuzjastą sentymentalizmu, więc proszę nie spodziewać się listów, okwieconych poezją; kocham prostotę. Proszę się tym nie zrażać!

Ślę pozdrowienia dla: „Słodkiej Danuśki", „Panny Lali" i „Łowcy Przygód".

Wszelką korespondencję dla mnie, proszę kierować na następujący adres: „poste - restante", Nakło n. Notecią. (dla „Bohuna"!)

### GŁÓD NOWYCH WRAŻEŃ

*„Egoistka"*. Pseudonim nieco odstręczający, ale jego właścicielka bynajmniej! Przeczytajmy sobie poniższy liścik, a przekonamy się, że tak jest istotnie, jak powiedziałam w pierwszym zdaniu:

„Jestem 20-letnią Ślązaczką, nieraz smutną i przygnębioną, a to z powodu samotności i braku choć jednej życzliwej i oddanej mi duszy. Lubię bardzo muzykę i podróżować. Ostatnio zaś odczuwam poprostu głód nowych, innych wrażeń — może je znajdę w korespondencji, dlatego proszę o obszerne i ciekawe listy.

Pozdrawiam serdecznie „Białą Uajali" i proszę Ją o kilka słów.

Dużo serdeczności przesyłam całej „Rodzince".

### KTO NAPISZE?

*„Rose — Marie"*. Nowa Sympatyczka „Krainy", kryjąca się pod powyższym pseudonimem, jest młodziutką, wysmukłą Kujawianką o jasnych włosach i błękitnych, smutnych oczach. Lubi życie wielkiego miasta, zmuszona jest jednak mieszkać w zupełnie małym i nudnym miasteczku. Kto napisze do „Rose — Marie", może „Podchorąży z Grudziądza", „Cicero", może „Sportowiec - tenisista"?

### PROSZĘ O PAMIĘĆ!

*„Wesoły Łobuz z pod Działdowa"*. Bardzo mnie to cieszy, że wkrótce odbiorę od Pani dłuższy liścik oraz miłą fotografię — dziękuję już naprzód.

Przykro mi, że życie Pani ułożyło się tak nieszczęśliwie, ale jest przecież w Pani nadzieja, że to wszystko skończy się i będzie kiedyś lepiej. Życzę Pani szczerze, aby ta nadzieja pozostała z Panią do końca ciężkich i smutnych dni. Ślę Pani moc pozdrowień i proszę o pamięć, szczególnie w każdej przykrej chwili.

Zakończenie listu zamieszczam:

„Przyjacielski uścisk dłoni i moc pozdrowień zasyłam „Zaczarowanej Cyganeczce" i proszę Ją o jakieś wiadomości.

„Wala z Bydgoszczy" i „Piękna Cyganeczko! — czekam na listy!

„Jesiennemu Wichrowi", „Wesołemu Człowiekowi", Blondynkowi w mundurze", „Młodemu Urzędnikowi" i Czytelnikom z Działdowa — ślę osobne pozdrowienia".

### „CZYŻ MOŻNA PRZECIWSTAWIĆ SIĘ WYROKOM LOSU?"...

*„Idealistka" i „Śnieżka z Pomorza"*. Biały arkusik, zapisany drobnymi literkami, powiedział mi bardzo dużo. Uprzytomniłam sobie wszystko — i Wasze pierwsze, szczęśliwe lata i długie miesiące niepowodzeń i wreszcie to Wasze nowe życie, napozór spokojne i szczęśliwe, a w gruncie rzeczy smutne.

„Obecnie czujemy się dość szczęśliwe — piszecie, Dziewczynki Drogie — i staramy się osłodzić i umilić ostatnie lata życia naszych Rodziców, skołatanych zmartwieniami i ciężkimi walkami. Trudno opisać, ile w życiu przecierpieliśmy. Nie skarżymy się jednak i nie czujemy do nikogo żalu, bo czyż można przeciwstawić się wyrokom złego losu i winić go? Chyba nie!"...

Przy słowach powyższych umyślnie zatrzymiałam się, gdyż ujęły mnie swoją prostotą i rozsądkiem. Tak, moje Małe Dziewczynki, wyrokom losu nie można sprzeciwić się — trzeba je przyjąć z poddaniem i umieć nadal zachować w duszy wiarę w życie, tak, jak Wy to zrobiłyście. Ściskam Wam serdecznie rączki, pozdrawiam i proszę bardzo o dalsze listy. „Komunikaty" oczywiście zamieszczam:

„Hallo! Tu „Idealistka"! P. Stasku z Grudziądza! Dlaczego nie ma tak długo odpowiedzi?

P. A. G. ze Świecia! Przepraszam za milczenie — odpowiedź wkrótce!

„Walli", czy nie jesteś moją koleżanką z pensji w P..."? — jeśli tak, to napisz!

„Dzinko"! Czy pamiętasz jeszcze czasy kajakowania na Wierzycy, obok parku? — ciekawam!

Czytelniczki i Czytelnicy z Sosnowca, Częstochowy i Gdyni, napiszcie do mnie!

Celinko K., czy mieszkasz w G.? Może mi prześlesz za pośrednictwem „Krainy" list?"

### DAREMNIE...

*„Samotna Kalina"*. Obawy Pani były bezpodstawne, gdyż oto dzisiaj przyjmuję Panią jak najserdeczniej do naszego grona i przedstawiam wszystkim zainteresowanym:

„Samotna Kalina" to sympatyczna szatynka, średniego wzrostu. Obecnie przebywa na wsi ale pochodzi z miasta. Lubi ludzi dobrych i szczerych. Najmilsze Jej zajęcie w wolnych chwilach — to czytanie książek.

„Samotna Kalina" pragnie poznać w „Krainie" jakąś bratnią duszę, której dotychczas daremnie szukała.

Czy teraz znajdzie ją? — kto rozwiąże to pytanie?

### NAPISZ SZCZERZE!

*„Helutka"*. Za prze-przemiły liścik mocno dziękuję i ślicznie proszę o drugi taki obszerny i szczery.

A teraz, chociaż rada przychyliłabym Ci, „Helutko", nieba, to jednak do Twojej prośby odnoszę się z rezerwą. Musisz sama, Kochanie, otworzyć szeroko oczęta i pilnie wypatrywać Tego, który będzie dla Ciebie światem całym, musisz sama wyczuć serduszkiem, czy to właśnie ten, a nie inny, jest Ci przeznaczony od Boga na dolę i niedolę życia. Żegnaj i napisz szybko!

### ZAPYTANIE

*„Ryśka D."* zapytuje „Wirryta", czy zrezygnował z projektowanego wzajemnego poznania się i czy winien temu „telefon"?

## ZALICZAM BARDZO CHĘTNIE...

*„Ulina"*, *„Ikjala"* i *„Imgra"*. Przemiłą Trójkę oczywiście bardzo chętnie zaliczam w poczet moich Przyjaciół, pozdrawiam serdecznie i zamieszczam liścik z apelem:

„Hallo! „Czarny Olku"! Napewno pamiętasz J. z L.? Dziękuję za życzenia!

„Aloha! — tu „Ikjala"! Tak, jestem tą o której pisałaś. Może napiszesz do mnie pierwsza? Łączę pozdrowienia dla „Wirryta". „Cormesa" zapytuję, dlaczego milczy? Zdaje się, że rozmawiałam z Panem w L.?

„Imgra" chciałaby nawiązać korespondencję z p. Kazikiem Zł z L. — czy otrzyma liścik?"

## UWAGA! SYMPATYCZKI Z BYDGOSZCZY I OKOLICY ŻNINA

*„Dziewczynka w mundurku"* pisze: „Mimo przeludnienia w „Krainie", pragnę wcisnąć tam swoją skromną osóbkę. Chodzi mi o korespondencję z Sympatykami „Krainy", najchętniej z Bydgoszczy lub okolic Żnina.

Jestem szatynką, oczy piwne, nosek nieregularny. Nigdy nie grzeszyłam brakiem wesołości, lubię sport i pasjami książki. „Straszne" kocham wieś: przyrodę, słońce, powietrze, swobodę.

Przesyłam pozdrowienia dla: „Pepi w mundurku", „Sztubaka z pod lasu", „Szarotki, Bydgoszczanki", „Duśki" i „Echa wsi".

## „LUBIĘ CHŁOPCÓW, ALE — BRZYDKICH"...

*„Stenia z Ina"*, bardzo miła brunetka o dużych, piwnych oczach, pisze:

„Zasadniczo jestem bardzo wesołą, ale czasem jakoś mi smutno na duszy.

Lubię chłopców, ale — brzydkich, podobnie, jak „Zawierucha". Pracuję w biurze, ale mimo to posiadam dużo wolnych chwil, więc chciałabym je poświęcić na wymianę myśli z Sympatykami „Krainy". Będę bardzo wdzięczną tym, którzy napiszą do mnie.

Milutkie pozdrowienia ślę: „Zawierusze", „Tartukowi", „Zawiedzionemu" i „Wesołemu Kozaczkowi".

## TĘSKNOTA

*„Miriga"* przez długi szereg miesięcy obserwowała życie „Krainy", aż wreszcie i Ona zdecydowała się zapisać na członka naszej „rewelacyjnej rodzinki". Oto krótki liścik „Mirigi":

„Jestem młodą blondynką, miłośniczką muzyki i książki. Czasem ogarnia mnie wielka tęsknota za kimś kochanym i bliskim i jak dotychczas, tęsknota ta jest daremną. Czy zawsze tak pozostanie? Rzucam pytanie w przestrzeń — kto mi na nie odpowie?"

## „JEST MI BARDZO WESOŁO"...

*„Mika — milutki urwis"* „wpadła" na chwilę do „Krainy", aby rzucić nam znowu kilka pogodnych, miłych słów:

„Jest mi bardzo wesoło, a to z tej przyczyny, że „odwaliłam" wszystkie egzaminy na ten rok i obecnie bawię się na balach przy dźwiękach morowej orkiestry.

„Bursztynowemu Serduszku" dziękuję za to, że się mną zainteresowało — cieszy mnie to. Czekam na liścik i łączę moc serdeczności.

„Porporato"! Dziękuję, za przesłane pozdrowienia — odwzajemniam je ślicznIutkim, milutkim pozdrowieniem".

## „KTO ZE MNĄ PODYSKUTUJE?"

*„Czarny Dryps"* przedstawia się: „Mam lat 27 i duże, niebieskie oczy. Lubię muzykę, mocno miłuję przyrodę i wszystko to, co naturalne i szczere. Jestem lotnikiem. Kto ze mną podyskutuje?"

## Z LISTU „ROZKOSZNEGO MURZYNKA"...

*„Wiarus — Murzynek"*. „Żołnierski list" Pana oddaję do przedruku, aby swą pogodną treścią jak najmilej ujął wszystkich Sympatyków „Krainy".

„Pragnę i ja, stary wiarus, (lecz nie wiekiem!) nawiązać bliższy kontakt z „Krainą". Przedstawiam się więc brzęcząc ostrogami i szarmancko salutując, jak przystoi roześmianemu artylerzyście z dwoma belkami. Jestem średniego wzrostu chłopczykiem, w gronie znajomych nazywany popularnie „rozkosznym murzynkiem". Kocham mój zielony mundurek i lubię pędzić z wichrem w zawody na moim koniku lub skakać przez wysokie i trudne przeszkody. Poza tym, jak każdy przeciętny wiarus, żyć beztrosko i wesoło, kochać wszystko, co przynosi radość życia i gromić „bestie" zatruwające dni radości. Jestem pocieszycielem zadumanych główek dorosłych i żywych laleczek i cieszę się, gdy uda mi się wywołać beztroski uśmiech „mruczków".

Obecnie chciałbym prowadzić ożywioną korespondencję z sympatycznymi mieszkańcami „Krainy". W tym celu przesyłam pierwsze pozdrowienia: „Blance", „Stelli Maris", „Leniuszkowi" i „Samotnej Sośnie" i — jeżeli wymienione Panie zainteresuje mój łobuzerski list, niech doniosą mi o tym, a z największą przyjemnością będę Je zarzucał listami, pełnymi „kawałów" z wesołego, żołnierskiego życia".

## „WIERZĘ!"...

*„Przedwiośnie"*. „Wierzę, że moja przyszłość będzie słoneczna i radosna! Wierzę, że szczęście przyjdzie do mnie i ukołysze w radosnym upojeniu i zachwycie mą duszę! Wierzę!..."

Oto króciutki wyjątek z listu kochanego, miłego dziewczątka — „Przedwiośnia". Zatrzymajmy się na chwilę przy tych cudownych słowach nie zgaszonej niczem, radosnej młodości i uśmiechnijmy się. Nabierzmy z tych słów choć na chwilę promiennej, dziecięcej wiary w własną przyszłość. A jeżeli to nam się uda, to uśmiechnijmy się jeszcze raz, tak, jak ja to czynię, do „Przedwiośnia", które...

„Roześmianej Ziuteńce" i „Czarnemu Hajduczkowi" ściska mocno łapięta i ślicznie dziękuje za pozdrowienia.

„Rudiemu" podaję do wiadomości, że oczekuję kilku miłych słów.

„Kuszącej Różyczce", że czeka na wyjaśnienie...

„Dida", „Głos Serca", „Marikę", „Sławę", „Jemiołę" i „Carmen" — serdecznie pozdrawia.

## HALLO! ZWOLENNICY SPORTU ŁYŻWIARSKIEGO Z GDYNI!

*„Młody Technik"*. Nie czuję do Pana najmniejszego żalu, gdyż — primo: milczenie Pana tłumaczy praca, a secundo: pamiętał Pan zawsze o nas i skoro tylko znalazł chwilkę wolnego czasu, zaraz napisał dłuższy list. Cieszę się z tego bardzo i żywię nadzieję, że odtąd będzie Pan częściej odzywał się do nas?

Sprawę prenumeraty załatwiła administracja. Dziękuję Panu za szczere życzenia, pozdrawiam i zamieszczam niżej apel Pana:

„Hallo! Miłe Czytelniczki z Gdyni i okolicy! Listami swoimi sprawicie mi dużo zadowolenia — piszcie więc! O to samo proszę również „Dumną Władkę", która ujęła mnie swym apelem w jednym z numerów „Moich Powieści". Może napisze do mnie także ktoś z Częstochowy, mego rodzinnego miasta? Najwięcej ucieszę się jednak, gdy napisze do mnie ktoś z Gdyni, uprawiający sport łyżwiarski i szukający partnera do tego miłego sportu".

## WYSŁAŁAM

*P. L. K. W.* List wysłałam. Za pozdrowienia i wszystkie dobre słowa — bardzo Panu dziękuję!

## „PO CO PŁAKAĆ I NARZEKAĆ, PO CO W SERCU CHOWAĆ ŻAL"...

*„Smutna Pszczółka"*. „I ja proszę o przyłączenie mnie do grona swych dzieci. Jestem Pomorzanką, ciemną blondynką o modrych oczach. Mieszkam na wsi. Posiadam z natury pogodne usposobienie.

Ostatnio spotkał mnie przykry zawód, który bolesnym echem odbił się w mej duszy. Kochałam kogoś ogromnie, pierwszą, gorącą miłością. Niestety, ten ktoś nie był takim, jakim go sobie wymarzyłam w moich młodzieńczych, złudnych snach. Nie zrozumiał mnie i odszedł bez słów. Cierpiałam bardzo, ale obecnie przebaczyłam mu wszystko i modlę się tylko za niego. Często powtarzam sobie: „po co płakać i narzekać, po co w sercu chować żal"... bo przecież kiedyś może być znowu dobrze.

Chętnie nawiążę korespondencję skimś wartościowym i godnym zaufania".

Po przedrukowaniu Twego liściku, „Smutna Pszczółko", dziękuję Ci serdecznie za wszystkie miłe słowa i radzę Ci w sprawie otrzymania posady podać odpowiednie ogłoszenie w „Moich Powieściach" lub w „Mojej Przyjaciółce", oraz łączę miłe pozdrowienia.

## HALLO! GDYNIA!

*„Eden"*. Poniższy list polecam specjalnej uwadze Czytelników z Gdyni:

„Młoda, wysmukła i zgrabna blondynka prosi o skomunikowanie się z nią wszystkich Gdyniaków, gdyż w marcu br. będzie zmuszona wyjechać do Gdyni, a nie zna tego miasta. Chodzi jej o poznanie drogą korespondencji przyszłego cicerona po Gdyni".

## PROSZĘ O ADRES!

*„Leniuszek"* ma w redakcji list — proszę o adres.

## „ŻYJĘ ZAWSZE POGODNIE I WESOŁO"...

*„Półdiable Weneckie"*. Powyższy pseudonim przyjęła młoda, pełna życia i humoru Czytelniczka z Poznańskiego. „Moje Powieści" czytam od deski do deski — pisze z entuzjazmem — i interesuję „Krainą", do której dzisiaj wstępuję. Lubię długie przechadzki i głośno śpiewać. Jestem z zawodu nauczycielką, ale narazie bez posady. Oczywiście nie martwię się tym, bardzo, bo żyję zawsze na pogodnie i wesoło. Całej „Krainie" przesyłam wagon całusów!"

## *Teczka Wujka Janusza*

### CIEŃ

Że istnieje cudny świat
Dobrze wiem, każdy wie —
Tylko czasem jest mi źle
Błądzić w cieniu chat.

Mało słyszę słodkich słów,
Zagubiony w szarej mgle,
Tylko serce wciąż się rwie
Za wizjami snów.

Czasem oczy zamgli cień,
Zjawa stanie w śnie —
Czuję ją — wichrem dmie
Przez otwartą sień.

*Tadeusz Rawicki.*

## NIE ZAMIESZCZĘ!

*„Ademar"*. W żadnym wypadku nie mogę zamieścić, gdyż rytm i rym, a nawet ortografia pozostawiają bardzo dużo do życzenia. Serdecznie pozdrawiam i dziękuję za życzliwość!

## RĘKOPIS NIECZYTELNY

*P. Marcin D.* Rękopis nieczytelny — proszę o przepisanie noweli jeszcze raz na białym arkuszu i tylko po jednej stronie papieru.

## BRAK RUTYNY

*„Hania z pod Warszawy"*. Spostrzeżenia bardzo trafne, ale poza tym wyczuwa się zupełny brak rutyny. Radzę dużo nad sobą pracować i zawsze drobiazgowo obmyśleć kompozycje utworów. Pozdrowienia odwzajemniam szczerym uściskiem dłoni.

# Raj kobiet



Żakiet wieczorowy z matowego jedwabiu w złoty deseń. — Bluzka popołudniowa: na białym tle barwne wschodne motywy. — Suknia wieczorowa z ciemno niebieskiej (w odcieniu nieba w nocy) crepe satin i koronki w tym samym kolorze; jako przybranie kwiat z jaskrawo czerwonych piór. — Skromna sportowa lub biurowa sukienka w szeroką kratę. — Toaleta popołudniowa, w której ładnie połączony jest materiał błyszczący z matowym.

## Kobieta jako juczne zwierzę, na szczęście nie u nas

Na wyspach hebrydzkich na Pacyfiku, na północny wschód od Australii żyje ród kobiecy istotnie w pożałowania godnym stanie. Wszystkie ciężkie roboty w polu i w domu, noszenie węgla i torfu, który jest prawie jedynym zarobkiem tamtejszej uboższej ludności, wszystkie ciężary codziennego życia, spoczywają na barkach kobiecych. Mężczyzna przechodzi obojętnie do porządku dziennego nad pracą swej towarzyszki i zażywa spokojnie ciągłych wywczasów, paląc fajkę i patrząc leniwie w przestrzeń...

Gdy mężczyzna i kobieta przybędą razem nad brzeg rzeki, wówczas kobieta przenosi naprzód przez wodę ciężar, który dźwigała na plecach, a po tym swego męża. I dlatego młody człowiek, który zamierza sobie wybrać towarzyszkę życia, poddaje naprzód dokładnej obserwacji tę, która wpadła mu w oko, badając przede wszystkim, czy kobieta ta ma silne muskuły i szerokie nadające się do noszenia ciężarów plecy. Wszystko inne jest rzeczą poboczną.

Powyższe pojęcia i stan rzeczy ilustruje wymownie anegdotka o pewnym starym kawalerze, który raptem postanowił zerwać z dotychczasowym samotnym trybem życia i wziąć sobie towarzyszkę. Gdy zdumiony tym jego przyjaciel zapytał go o powód nagłej zmiany zapatrywań, kandydat do małżeństwa odpowiedział ze szczerą prostotą: „Muszę tak uczynić, niema dla mnie innej rady. Wszak wiesz przecież, że ubiegłego tygodn. straciłem moje jedyne juczne zwierzę". Powyższa odpowiedź jest znamiennym świadectwem zapatrywań, jakie na wyspach hebrydzkich mają mężczyźni w stosunku do kobiet i do instytucji małżeńskiej.

### RADY PRAKTYCZNE

**Połysk w wełnianych sukniach, płaszczach albo ubraniach** znika po natarciu wyświeconych miejsc mieszaniną z 1 litra miękkiej wody z 5 dkg soli kuchennej i 5 dkg amoniaku. Prasować po lewej stronie, albo tylko wyciągnąć na desce z pomocą szpilek.

**Ciemny aksamit** odzyskuje świeży wygląd, gdy pociera się go olejkiem terpentynowym. Zmięty aksamit prostuje się pod wpływem pary. — W tym celu trzyma się go nad parą, o ile chodzi o płaszcz albo inną odzież na podszewce. Jeśli odwrotna strona aksamitu jest wolna, można ją zwilżyć, a nad prawą stroną potrzymać gorące żelazko, wtedy woda przemienia się w parę i podnosi zgniecione włókna. Jasny aksamit czyści się papką z mąki kartoflanej i benzyny.

**Tłuste plamy w jedwabiu** posypać łojkiem, przełożyć bibułą i prasować niezbyt gorącym żelazkiem.

**Czarne suknie** odzyskują świeży wygląd, gdy zmywa się je gąbką, albo miękką szczoteczką, maczaną w herbacie z dodatkiem 1 łyżki octu winnego na 1 litr herbaty. Prasować wilgotne z lewej strony.

**Atłas** czyści się doskonale miękką wodą z dodatkiem octu winnego dla ciemnych, a spirytusowego dla jasnych tkanin, łyżka na pół litra wody.

**Mory i rypsu jedwabnego** nie można trzeć, trzeba go czyścić czarną kawą albo wodą z octem za pomocą gąbki lub miękkiej szczoteczki.

**Jasne obuwie można odczyścić benzyną.** (Na ten cel służą także płynne lub półpłynne kremy). Po oczyszczeniu benzyną należy je natrzeć dobrym kremem.

**Atłasowe pantofelki** czyści się również benzyną, brokatowe zaś wacikiem, maczanym w ciepłym spirytusie.

**Duńskie, antylopowe i glacé rękawiczki** czyści się benzyną. W tym celu najlepiej zanurzyć całe ręka wiczki w benzynie, w głębokim naczyniu, nakryć i pozostawić tak przez 2—3 godziny; po tym czasie potrzeć, wycisnąć lekko, włożyć na ręce i wycierać czystym płótnem, na koniec powiesić w przewiewnym miejscu.

**Jelonkowe i irchowe rękawiczki** do prania pierze się w letnich mydlinach zmieniając wodę tak często, aż będzie zupełnie czysta. Ostatnim razem nie należy płókać ich z mydlin, tylko wycisnąć, nadać rękawiczkom formę i suszyć je w przewiewnym miejscu, nigdy zaś koło pieca. Kolorowe irchowe rękawiczki tracą, przy praniu często kolor, dlatego lepiej prać je również benzyną, którą można także usunąć ciemne i wyświecone miejsca na palcach.

# Świat i życie

## Miasto dochodzące do głosu

### Dawidgródek ośrodkiem zainteresowań na Polesiu

(Korespondencja własna).

Dawidgródek, w lutym

O Dawidgródku wie już niemal cała Polska. Niedawno słyszeliśmy przez radio audycję o świetnych szewcach dawidgródzkich, u których nawet Pan Prezydent Rzeczypospolitej buty myśliwskie zamawiał.

Miasteczko to dzięki radiu stało się popularne i dziś coraz o nim głośniej, nietylko na wschodnich rubieżach kraju, ale i w całej Polsce.

Dawidgródek najbardziej na wschód wysunięte miasteczko na Polesiu, różni się od innych miast wojewódzkich nietylko swoim charakterem, lecz również odrębnością etniczną jego mieszkańców, która rzuca się w oczy każdemu, kto zwiedza tę ciekawą miejscowość.

Znaczna bowiem liczba dawidgródczan wychodzi od jeńców tatarskich, którzy osiedlili się tutaj za czasów ks. Witolda.

Szeroka twarz, skośne oczy, i wyrastające kości twarzy, a nawet zwyczajne, ubiór i nazwiska wskazują na pochodzenie mongolskie tej ludności.

Ale nietylko wygląd zewnętrzny przemawia za odrębnością tej grupy mieszkańców Polesia. Jeżeli o Poleszuku można powiedzieć, że jest podstępny, nieufny i mało przedsiębiorczy, to mieszkaniec Dawidgródka zadziwia cię swoją przedsiębiorczością i ruchliwością.

Przyjrzyjmy się pracy i zajęciom przeciętnego dawidgródczanina. W dawidgródku pozostało po królowej Bonie do dziś dnia wzorowa uprawa ogrodnictwa i nasion. Wczesną wiosną paruset mieszkańców wyrusza z nasionami po całej Polsce.

Dzięki swej niezwykłej przedsiębiorczości i żyłce do handlu „nasieniarze" dawidgródeccy zdobywają coraz to nowe tereny zbytu na zachodzie i południu Polski, konkurując z powodzeniem z nasiennictwem czeskim.

Druga grupa dawidgródczan rozchodzi się po większych miastach z lodami. „Lodziarz" dawidgródecki znany jest od Gdyni po Głębokie.

Późną jesienią „lodziarze" i „nasieniarze" wracają z uciułanym groszem do domu. Pewien okres czasu poświęcają oni z reguły posiadanemu skrawkowi ziemi. W okresie zimowym również nie siedzą bezczynnie, jak Poleszucy.

Trudnią się wtedy szewctwem: szyciem butów na eksport. Miejscowe garbarnie dostarczają skór na długie nieprzemakalne buty rybackie i myśliwskie, znane szeroko w kraju.

Parę takich butów, jak wspomnieliśmy, zamówił dla siebie najznakomitszy polski myśliwy — Pan Prezydent Rzeczypospolitej. Jest to bezwątpienia dla dawidgródzkich szewców zaszczyt nielada.

# Ze świata

## Jaskinia palaczy opium w Liverpoolu

Nałóg odurzania się narkotykami coraz bardziej rozpowszechnia się w Anglii i sprawia władzom bezpieczeństwa niemało kłopotu. Ostatnio policja wykryła w Liverpoolu zakrojoną na szerszą skalę jaskinię palaczów opium, — do której uczęszczały zwłaszcza panie z najlepszego towarzystwa.

Jaskinia ta urządzona była w jednej z will, położonych na uboczu, na jednym z przedmieść Liverpoolu. Właścicielem jej jest Chinczyk, nazwiskiem Aszan. Całe urządzenie było wzorowane na tego rodzaju spelunkach chińskich. — Gdy policja wtargnęła do lokalu, zastała w nim kilka nawpół odurzonych kobiet, wśród nich znaną artystkę dramatyczną. Właściciel spelunki, który za wejście pobierał całego funta, otrzymywał opium od chińskich marynarzy i robił świetne interesy.

## Jak całują aktorzy?

Z okazji nowojorskiej premiery wielkiego filmu amerykańskiego „Anthonny Adverse", w którym główne role grają m. in. Frederic March i Olivia de Havilland, ukazało się mnóstwo artykułów i wywiadów z aktorami filmu. Podajemy dowcipny wywiad z Olivią de Havilland o „filmowych pocałunkach", który ukazał się w paryskim „Journalu".

Opierając się tylko na pięciu przypadkach Olivia de Havilland stwierdziła olbrzymią różnicę w pocałunkach — naturalnie jeśli chodzi o pocałunki na ekranie.

Ta młoda, a sławna już aktorka występowała dotąd tylko w pięciu obrazach, lecz za każdym razem w roli głównej bohaterki. I za każdym razem musiała się całować ze swym partnerem.

W „Śnie Nocy Letniej" w roli Hermii całował ją Dick Powell.

— „Pocałunek jego był bardzo przyjemny, choć braterski" — przypomina sobie Olivia.

— Jako narzeczona Joe Browna w filmie „Alibi Iks" otrzymałam tylko jeden pocałunek. — Joe ma wprawdzie potężny aparat do całowania, ale nie umie nim operować.

Aktorka uśmiecha się złośliwie i dodaje:

Pocałunek Cagneya dziwnie przypomina cały sposób jego zachowania się. Całuje jakby uderzał kopał, lub odbijał piłki tenisowe, gwałtownie i z hałasem. A to bardzo silny charakter.

Wkrótce potem Olivia miała się dowiedzieć, co to jest pocałunek wysokiej klasy. Otrzymała mianowicie rolę Arabelli w filmie „Kapitan Blood" a Errol Flynn, piękny i młody, kreował główną rolę męską. Gdy Olivia mówi o pocałunkach Flynna oczy jej na wpół są przymknięte.

— Słowami poety — powiedziała — można by to określić w ten sposób, że w pocałunkach Errola Flynna mieści się i romantyzm i fantazja i pewna zadzierzystość. Czuję, że nie mogę tego dokładnie określić. Wiem tylko, że pocałunek ten dał mi prawdziwe zadowolenie. — Ze stanowiska aktorskiej gry — dodaje.

Piąty raz doświadczyła tego podczas filmowania wielkiego filmu „Anthony Adverse" w którym tytułową rolę romantycznego kochanka gra Fredric March.

Pocałunek Marcha to pocałunek płomiennego, dworskiego kochanka. Trzymał mnie w objęciach z prawdziwą gracją i muszę przyznać, że było mi w tej pozie bardzo wygodnie. Ham nadzieję, że March źle mnie nie zrozumie, jeśli powiem, że bezpresznie

zna się na rzeczy. Mając sama niewiele doświadczenia pod tym względem ośmielam się wydać sąd, że pocałunkom Marcha nie mogę mieć nic do zarzucenia.

# Marzenie z „poste - restante“

NOWELA

(Dokończenie.)

— No, dobrze już, dobrze, zabierz się pan do pracy.

Pan Serafin tego dnia był ogromnie podniecony, czas wlókł mu się jak wieczność.

— O Boże!... — wzdychał cicho, — jeszcze całe trzy godziny!...

Ale oto już dziewiąta, dziesiąta, jedenasta... Serce Serafina ścisnęło się, bo oto naraz ujrzał ją w drzwiach: przeszkadzano jej podejść do niego. Gotów był rzucić się roztrącić tłum, walczyć jak lew o możność dostępu dla niej, ale — niestety: — nie miał prawa w godzinach urzędowych wychodzić ze swej przegródki.

— Proszę, proszę!... — jęknął płaczliwie, podając jej list ponad głowami innych interesantów.

Podziękowała mu cudownym uśmiechem i wyszła. Zrobiło mu się żal, że tak pospiesznie odprawił ją od siebie, ale przypomniał sobie jej uśmiech i natychmiast się rozpogodził.

Od tej pory służba w urzędzie pocztowym miała dla niego sens i znaczenie. Teraz tam, a nie w domu było jego życie. Po pewnym czasie spostrzegł periodyczność listów. Wtorek i piątek. Żył więc od wtorku do piątku. Czasem list przychodził i między tymi dniami, a wtedy dzień ten był specjalnym świętem jego serca. Ona, naturalnie, wiedziała, kiedy będzie list, bo zawsze po niego przychodziła. Wkrótce między nimi zadzierzgnęła się nić sympatii. Podchodziła do niego, mówiła mu, jak dobremu znajomemu „dzień dobry“ i „dowidzenia“, czasem wtrącała jakiś krótki frazes o pogodzie, o jego pracy... Zawsze cudownym uśmiechem dziękowała mu za uczynność i grzeczność.

Był szczęśliwy. Wracając do domu, był wesół i uprzejmy dla Beczkowiczowej i czasem mówił jej nawet o wielkiej miłości duszy artysty, o braterstwie dusz i o wszystkim, co wyczytał o miłości w tanich romansach. Pani Anna Beczkowiczowa pochlipywała rzewnie nosem, wzdychała, słuchając go z nabożnem skupieniem i tem więcej raczyła go herbatą z konfiturami i obficiej karmiła jego ulubionemi potrawami, mawiając:

— Eh, niema to jak wam, mężczyznom... wam zawsze dobrze, ale nam biednym — miłość, tęsknota, rozpacz i — nic więcej!..



Z chwilą nadejścia zimy w Lake Placid, slynnym okręgu sportów amerykańskich, zostaje wybierana corocznie królowa sportów zimowych. Na zdjęciu widzimy tegoroczną królową, miss Jane Froman, która po wyborze ukazała się zgromadzonym tłumom w purpurowym płaszczu i złotej koronie na głowie.

Na to pan Serafin odpowiadał całym monologiem o tęsknocie duszy mężczyzny — artysty. Ale był szczęśliwy. Nigdy nie śpiewał z takim uczuciem, jak w tym czasie, nigdy dotąd nie starał się z większym żarem przelać w dźwięki gitary namiętności swego serca. Pani Anna znajdowała, że „gra ze łzą“... Serafin nie myślał o tem od kogo pochodzą listy, choć jednocześnie jakieś podświadome uczucie zawiści i gniewu, uczucie głuchej nienawiści zakradało się do jego duszy, ale — tylko na chwilę. Nie starał się wcale dowiedzieć, kto ona, gdzie ją można widzieć? Nie, jemu wystarczało widywać ją, choć rzadko, słuchać czasem jej głosu — i to całkowicie wypełniało mu życie.

Minęły dwa miesiące i razu pewnego, przyszedłszy we wtorek do urzędu, Serafin nie znalazł listu. Zrobiło mu się strasznie, jakby to on był temu winien.

Przyszła smutna i zatroskana. Pierwszy raz zobaczył ją taką Serafin, a smutek jej bolesnym echem odezwał się w jego sercu. Weszła, ujrzała go zmartwionym i smutnym i uśmiechnęła się smutnie...

— Co! Niema?

— Nie!... — odpowiedział Serafin drżącym głosem winowajcy.

Odwróciła się i wyszła.

Tej nocy Serafin nie mógł zasnąć. Postanowił oczekiwać piątku. Serce biło mu jak na alarm, pełne niepokoju. Wreszcie nadszedł upragniony piątek. Prawie całą drogę do urzędu Serafin biegł kłusem. List był! Tak bardzo ucieszył się tym, że gotów był skakać i śpiewać z radości. Nigdy dotąd nie czekał jej z taką niecierpliwością.... Weszła lekko pobladła, zamyślona. Kiedy zobaczyła jego promieniejącą twarz, jego wyciągniętą rękę z listem ku sobie, uśmiechnęła się mile, zarumieniła i drżącą ręką odebrała list. I widać płonąc z niecierpliwości, tuż przy nim, na miejscu, nie oddalając się od okienka, rozerwała kopertę. W miarę czytania listu, twarz jej się rozjaśniała. Była szczęśliwa. Skończyła i spojrzała na niego radośnie błyszczącymi oczyma. — Szczęście zdawało się ją przepełniać całą, rwać się nazewnątrz.

— Przepraszam, jak się pan nazywa? — spytała.

— Serafin Kościołek — odpowiedział, przeklinając jednocześnie w duchu swoje imię.

— Dziękuję panu, panie Serafinie. Dowidzenia! — rzekła i oddaliła się szybko.

— O, jakiż on był szczęśliwy tego dnia! — Serce jego śpiewało hymny radości. Wróciwszy do domu, ledwie zjadł obiad, porwał gitarę i z namiętnością zaczął śpiewać.

„Ja wiem, że wrócisz w jakiejś tam godzinie,
ta sama moja, bez miary kochana...“

Lecz szczęście na ziemi nie jest wieczne. I Serafin Kościołek poznał tę prawdę. Listy zaczęły przychodzić coraz rzadziej i coraz rzadziej ona była szczęśliwa i wesoła. Ze smutnym uśmiechem przyjmowała słowa współczucia i tęskno - smutne spojrzenia Serafina. Wychudła i pobladła. W głębi, gdzieś tam na samem dnie zbolałego serca Serafina Kościołka zaczynało się rodzić uczucie nienawiści do owego człowieka, autora listów, który ją tak męczył... On sam wychudł, prawie zarzucił gitarę, często nie sypiał po nocach, a pani Anna Beczkowiczowa, patrząc na niego, pochlipywała nosem i wzdychała, ale obawiała się rzec cokolwiek, gdyż ukochany jej lokator stał się teraz ogromnie drażliwym.

— „Zagrał“ się na gitarze — zdecydowała — i stąd napewno w służbie nieporządki — ot i dlatego. Artysta! — dodawała już z pewnym rozczarowaniem.

Nastała jesień. Głucho i pusto wydawało się w urzędzie. Serafina Kościołka nie opuszczała męcząca tęsknota. Ona nie przychodziła, choć dziś miała list. Zauważył teraz, że nie zawsze cieszą ją listy. Już nie z dawnym pośpiechem i radością podawał jej listy, ale niepewnie i wahająco. Jeśli go czytała tuż zaraz, na miejscu — z drżeniem serca wpatrywał się w jej twarz, pragnąc odgadnąć wrażenie; a jeśli wychodziła bez czytania — z tęsknotą oczekiwał ponownego spotkania, aby się przekonać, jaką też jest: — wesołą czy smutną?

Pewnego dnia przyszła z tak smutną i przemęczoną twarzą, że nie mógł się powstrzymać i głosem, pełnym szczerego, głębokiego współczucia, spytał:

— Co pani jest?

— Zmęczyłam się... Źle się czuję... czy można tu spocząć? — rzekła słabym głosem.

Serafin zakłopotał się, chciał wyjść z przegródki, podać krzesło, ale ona usiadła już tymczasem na ławce. Podał jej list. A ona, nie otwierając położyła go na kolanach i — Serafin zobaczył nagle, jak łzy cicho, jedna za drugą — ciekły po wychudłych policzkach. Serafin poczuł, że i jego oczy napełniają się także łzami. Spojrzenia ich spotkały się. Ona szybko obtarła łzy i wstała.

— Jaki pan dobry!... — No, ale — żegnam pana i... dziękuję za wszystko.

I wyszła.

Nie przyszła ani w następny piątek, ani w następny wtorek.

Serafin był w rozpaczy. Opadła go śmiertelna tęsknota. Dnie biegły za dniami; minęły trzy tygodnie; miała już cztery listy, lecz nie przychodziła. Przechowywał te listy jak relikwie, postanawiając sobie, że kiedy minie prawny termin, zabierze je sobie. Nie będzie ich nigdy czytał, o nie! Całował je tylko będzie i wspominał owe cudne i nigdy niezapomniane dnie.

Pełen smutnych i ponurych myśli, pewnego dnia Serafin siedział przy pracy, gdy naraz, jak niedawno temu, tuż nad jego głową, nad zwichrzoną czupryną, rozległ się głos, lecz inny, męski, który — niewiadomo czemu — bólem przeszył serce Serafina.

— Czy tu wydaje się listy „poste - restante“?

Serafin drgnął i podniósł głowę. Przed nim stał młody, blady człowiek.

— Tutaj! — odrzekł ostro Serafin, sam nie wiedząc czemu tak postępuje. — Co pan sobie życzy?

— Listy „W. Z.“

Wszystka krew zbiegła Serafinowi do serca, które nagle zabiło tak mocno, jakby się rozbić chciało o ściany klatki piersiowej.

— Jak to... dlaczego?... — mógł tylko wypowiedzieć.

— Dlatego, bo ja je pisałem... — odrzekł ze smutkiem młody człowiek.

Głucha nienawiść napełniała serce Serafina. Postanowił nie oddawać listów.

— Przepraszam... tu przychodziła po nie młoda pani. Ona znowu może przyjść...

— Owszem, przychodziła, ale ona już tu więcej nigdy nie przyjdzie — odpowiedział młody człowiek z jękiem siłą hamowanym.

Na te słowa jakby piorun grzmotnął w samo serce Serafina.

— Dlaczego? — wyszeptał blady jak płótno.

— Umarła... — usłyszał odpowiedź.

Jak oddał listy i co było potem — nie pamięta. Jakiś głos, ruch, bieganina, czyjeś słowa...

Oprzytomniał na kanapie w dyżurnym pokoju.

— Idź pan do domu, panie Kościołek — rzekł kontroler. — Jesteś pan chory.

Potykając się, jak pijany, doszedł jakoś do swego mieszkania. Na jego widok pani Beczkowiczowa załamała ręce.

— Ach, kochany panie, co się stało?! Pewnie wylali pana z posady?

Odepchnął ją i wszedł do swego pokoju. Gitara leżała na łóżku. Z wściekłością furiata porwał ją i cisnął w kąt. Gitara zajęczała żałośnie wszystkimi strunami i rozpadła się w drobne kawałeczki. Pani Anna zniknęła za drzwiami, zatrzaskując je gwałtownie za sobą. A Serafin rzucił się na łóżko, bez łez, bez jęków, jakby przybity nagłym ciosem...

Umarła!... Ona umarła, a on nie zna ani imienia, ani nazwiska, ani nawet cmentarza... Nawet zapłakać nie może na jej mogile. Przeszła przez jego życie nieznana i znikła, nic, literalnie nic mu nie zostawiając, krom wspomnienia i zranionego serca.

Panni Anna odważyła się wkończu wejść do pokoju.

— Głupstwo, panie Serafinie — odezwała się — co się tam pan będziesz martwił, znajdzie się i drugie miejsce, jeszcze lepsze, a tymczasem może pan mieszkać u mnie z Bogiem...

— Ooo!... — zajęczał Serafin — niech będzie przeklęte to miejsce! Długo jeszcze będzie ono moim...

I znowu ogarnęła go nowa fala bólu. Nagle zerwał się z łóżka.

— Pani Anno! — zawołał drżącym głosem — umarła... ona umarła!...

— Kto umarł?

— Ona!... ona!...

Jęknął i zwalił się w pościel.

Pani Beczkowiczowa, nic nie rozumiejąc, wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju.

— Stój! — zawołał — gdzie uciekasz!?

— Muszę zobaczyć, co on robi, bo może się udusić, zawołała.

Alojzy przyskoczył do niej i powstrzymał ją przemocą.

— Stój! — zawołał — teraz chcesz mu usta odkneblować?

— Tak jest.

— A jak który z nich wróci, to co? Nic z tego, nic mu się nie stanie jeszcze przez chwilę, a my musimy być ostrożni. Naradzimy się, co z nim należy zrobić.

Do piwnicy teraz nie można go już napowrót wsadzać, bo oni mogą wrócić i co wtedy!?

## ROZDZIAŁ LXIII.

### Poranek urodzinowy

Był szary poranek, gdy Leon zbudził się z przykrego snu.

Dziwny niepokój, niewytłumaczone pragnienie czegoś, męczyło go.

Spróbował wyjaśnić sobie, o co mu chodzi i jako wyjaśnienie ukazała mu się urocza postać baronowej Wimpfen.

Przypomniał sobie wypadki wczorajszego dnia.

Widział siebie, jak ku podziwu tłumu, odważnie chwycił rozhukane rumaki, jak mu Lola mdlejącym głosem dziękowała, jak szczebiotała i śmiała się z nim razem, jak czuł, że niby elektryczny prąd przebiega mu po ciele na samo wspomnienie tej kobiety.

W zachwycie otworzył oczy i strącony z nieba marzeń widokiem swego otoczenia, zamknął je prędko znowu.

To nie ten teren wspaniały jego wczorajszego szczęścia, to gołe ściany jego ubogiego mieszkania.

Tanie, tandetne swoje meble porównywał z tamtym urządzeniem i uczuł wstręt do tej nędzy.

Śpiąca żona obok niego, na którą teraz spojrzał po raz wtóry, w spokojnych, przyjemnych snach leżała jak uśpiony anioł. Złote włosy rozrzucone po poduszce, okalały twarz piękniejszą może jeszcze niż zwykle i błogo uśmiechniętą.

Ale małżonek nie odczuł tego wdzięku.

Patrzył na nią zmarszczywszy brwi.

Oto ta, co go wiąże i krępuje.

Serce jego, a raczej zmysły podniecone, zwrócone były teraz gdzieindziej.

Tamta wydała mu się doskonalszą, w całym tego słowa znaczeniu, kobietą.

Hortensja poruszyła się i obudziła.

Leon natychmiast udał, że śpi.

Ach, gdyby widział z jaką miłością jej cudne oczy spoczęły na nim, jak czule i niewinnie spojrzała na niego, możeby się było nawróciło jego zatwardziałe serce.

Hortensja sądząc, że on śpi jeszcze, pocichutko wstała, ubrała się bez najmniejszego szelestu i wysunęła się z pokoju.

Z niechęcią popatrzył za nią.

— I po co związałem się z tym dzieckiem na wieki? — wyrzucał sobie.

Sofistycznie tłumaczył sobie, że kochając baronową, wcale żony nie



W czasie międzynarodowego tygodnia sportowego na stadionie w Garmisch-Partenkirchen, zademonstrowano szereg pokazów sportowych. Między innymi, siostry von Botond, odtańczyły na lodzie piękne tańce narodowe.

krzywdzi, bo ona za dziecinna na to, aby być zazdrosną.

Nareszcie wstał i ubrał się.

W pokoju dla gości zastał Hortensję z brzękiem przygotowującą śniadanie.

Bukiet kwiatków obok filiżanki Leona, na miejscu zwykłego pieczywa, leżało smaczne ciasto.

Zobaczywszy męża, zbliżyła się do niego z cudnym rumieńcem i zakłopotaniem.

— Kochany Leonie — rzekła — pozwól, że ci powinszuję w dniu twych urodzin. Nic ci nie mogę dać prócz najserdeczniejszej mojej miłości. Spodziewam się, że nią nie pogardzisz.

Ledwie to wymówiła, łzy puściły jej się z oczu i rzuciła mu się na szyję.

Troska jej, długo tłumiona — teraz spływała we łzach.

Leon zdziwiony był tym wybuchem namiętności, której nigdy u niej nie widział.

Zapomniał zupełnie o tym, że to dzień jego urodzin, a życzenia pełne szczerości i czułość Hortensji zakłopotały go.

Nie mogąc się dostroić do jej tonu, pocałował ją chłodno w czoło i rzekł zimno:

— Łzy na urodziny, to zła wróżba. Zrób więc to dla mnie i dla siebie i nie płacz. Dziękuję ci za życzenia i pamięć o dniu, o którym ja sam nie pamiętałem od kilku lat!

Nie zwracając dalej uwagi na nią, zasiadł do śniadania.

Hortensję chłód męża zmroził aż do szpiku kości.

Tyle obiecywała sobie po tym dniu, jakżeż tęskniła za nim, w nadziei, że wrócą z nim chwile dawnego szczęścia i słońca w pożyciu małżeńskim, i zakwitnie nowa wiosna miłości.

Jakież rozczarowanie.

Powstrzymała jednak łzy, które teraz ze zdwojoną siłą cisnęły się jej do oczu i usiadła napozór spokojnie obok męża.

Zaraz zauważyła jego roztargnienie i odgadła, że myśli jego są gdzieś daleko.

Smutek jakiś ogarnął ją.

A więc nawet dziś nie miał dla niej ani jednego spojrzenia, ani jednej myśli.

Co tak zajmowało jego myśli?

Wszystkie jej domysły, nie przynosiły żadnego rezultatu.

Czekała na to, że Leon jak zwykle zabierze się do nauki.

Lecz on siedział zamyślony przy stole, jakby zapomniał o książkach.

Hortensja siedziała przy nim, on jednak zdawał się jej nie dostrzegać.

Tak minęło kilka godzin w dusznym milczeniu.

Leon nie uważał tego, lecz za to ona czuła, że to ciąży na niej brzemieniem nie do zniesienia.

Nagle weszła do pokoju gospodyni i gadatliwie ich pozdrowiła.

To dopiero wyrwało go z zadumy.

Pani Neumeister przepraszała za śmiałość, ale, że jako biedna kobieta potrzebuje pieniędzy dla dzieci, więc prosi o czynsz, którego termin minął już z dniem wczorajszym.

Leon milcząc, wyjął portmonetkę, która zupełnie prawie próżna dziś, po raz pierwszy go nie zaniepokoiła. Zapłacił i ostatnie dwie setki schował do kieszeni, co Hortensję trochę zdziwiło.

Potem wstał i poszedł do sypialni, podczas gdy gospodyni uważała za swój obowiązek opowiadać Hortensji to i owo o sąsiadach.

Gdy Leon wrócił wreszcie do jadalni, zauważyła Hortensja ze zdumieniem, że był wystrojony, jak nigdy.

Ciąg dalszy w następnym numerze.

## CHWILA ZASTANOWIENIA

Rozsypanka sylabowa

Trze — ży — rów — wę — się — stro — wy — we — nie — u — ba — iść — gło — z — gać — na — no — przód — więd — po — w — u — mi — po — cie — a — rem — liść — z — łych — ży — la — ić — u.

Z powyższych sylab ułożyć znany czterowiersz Adama Asnyka.

Rebusiki
pod. „Eros".

ło / ga — sto / li — ka / lew — lo / tek — stek / par

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 12 lutego br.

Rozwiązanie zadań z nr. 4 „Moich Powieści": **Rozsypanka:** 1. **R**egaty. 2. **A**peniny. 3. **T**alizman. 4. **U**ral.. 5. **J**uka. 6. **M**adagaskar. 7. **Y**es. 8. **B**enito. 9. **E**wunia. 10. **Z**an. 11. **R**einkarnacja. 12. **O**lkusz. 13. **B**awaria. 14. **O**pole. 15. **T**agore. 16. **N**emrod. 17. **Y**. 18. **C**haritas. 19. **H**akatysta. **Całość:** Ratujmy bezrobotnych! **Dopełnianka:** 1. **Ka**reta. 2. **A**kacja. 3. **Ma**kata. 4. **Moska**l. 5. **Moni**ka.

Trafne rozwiazanie zadań nadesłali pp. E. Konieczna — Skarszewy, Władysław Opaliński — Poznań, W. Arent — Słaborowice, Kazimiera Słowińska — Kostopol, Wiktoria Wasilkowska — Grodno, Stanisław Terzyk — Sarny.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Wiktorii Wasilkowskiej — Grodno i Stanisławowi Terzykowi — Sarny.

JADWIGA COURTHS-MAHLER

# Ofiary miłości

Powieść

5) PRZEDRUK WZBRONIONY!

W parę sekund później dwie główki dziewczęce: jasnowłosa i kasztanowata, tuliły się do Wendeburga, a także Bernarda przywitały najserdeczniej. Zwłaszcza delikatna jasnoblondynka o ogromnych błękitnych oczach dziecka, z żywą radością podała mu rękę.

— Jak ładnie, panie Gerold, że pan przyszedł bo byliśmy dziś całkiem sami.

Ucałował rycersko jej drobną, białą rączkę.

— Nie potrzebuję chyba zapewniać, że zawsze bardzo chętnie przychodzę do państwa — odrzekł uprzejmie.

Następnie zbliżył się do drugiej z panien. Znacznie wyższa od swej towarzyszki, doskonale zbudowana, miała bujne kasztanowate włosy, podnoszące urok ślicznej twarzy o olśniewającej cerze. Wyraziste oczy o złotych błyskach patrzyły poważnie, z pewnym odcieniem smutku. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest naturą głębszą i dojrzalszą od dziecinnie pogodnej, beztroskiej towarzyszki. Cały jej wygląd tchnął uduchowieniem.

Mimo czaru młodości, w twarzy jej widniała dojrzałość, jaką nadaje tajemne cierpienie. A Bernard domyślał się, z jakiego źródła ono płynie. Wiedział, że Ewa w dzieciństwie straciła ojca przez przedwczesną śmierć, a co gorsza — straciła matkę przez jej żądzę życia. Tem goręcej pragnął uczynić ukochaną przezeń dziewczynę tak szczęśliwą, by z twarzy jej pierzchnął wyraz cierpienia, przejawiający się smutnym spojrzeniem i czemś nieuchwytnem w subtelnej linii ust. Gdy podszedł do niej, by ją przywitać, wymowne jej oczy na sekundę spotkały się z jego gorącym, tęsknym spojrzeniem, a twarz jej okryła się lekkim rumieńcem.

To niemiłe porozumienie trwało jedną sekundę, lecz serca obojga towarzyszyły mu żywym tętnem. Przywitanie było atoli salonowo poprawne. Ewa szybko odwróciła głowę i zadała jakieś błahe pytanie Wendenburgowi.

Nazywała go wujem. Ewa Grabow była córką jego dalekiego krewnego i serdecznego przyjaciela młodości. Przyjaźń ta ochłodła atoli, a następnie całkiem się zerwała, gdy ojciec jej wbrew ostrzeżeniom Wendenburga pojął za żonę bardzo piękną, lecz mało zdolną i lekkomyślną aktorkę. Dopiero po wielu latach Wendenburg dowiedział się przypadkowo, że Grabow stracił cały majątek przez rozrzutność żony, która wróciła na scenę, porzuciwszy ciężko chorego męża i dziecko niemal w nędzy.

Wendenburg w międzyczasie ożenił się z sierotą, która wniosła mu posag wielomilionowy. Dowiedziawszy się o nieszczęściu Grabowa, udał się doń, by mu przyjść z pomocą. Ale było już zapóźno, Chwile Grabowa były policzone. Przy życiu utrzymywał go jedynie lęk o córkę i oto zjawił się przyjaciel, by go uwolnić od tego niepokoju, dając umierającemu solenne przyrzeczenie, że zaopiekuje się nią, jak własnym dzieckiem. Co też uczynił. Żona jego prawdziwie macierzyńską miłością otaczała sierotkę, wychowując ją tak samo jak własną córkę, młodszą o trzy lata, Gabrielkę. Ewa przywiązała się całą duszą do swej szlachetnej opiekunki, a kiedy słabowita pani Wendenburg poważnie się rozchorowała, pielęgnowała ją z najwyższym poświęceniem. By jej zaoszczędzić wszelkiego trudu, mimo młodości, wzięła na siebie wszystkie obowiązki gospodyni: niepostrzeżenie powściągając też dziecięcą żywość małej Gabi, nie zdając sobie sprawy z ciężkiego stanu matki. Śmierć Anny Wendenburg była dla Ewy ciężkim ciosem, który cieniem melancholii zasnuł jej młodość.

Po jej śmierci wzięła w swe ręce ster gospodarstwa, z poczuciem obowiązków rosła też siła do wykonywania ich. Mimo niedużej różnicy wieku, była znacznie dojrzalszą od Gabi, której ze względu na wątły organizm, zaoszczędzano wszelkich wysiłków fizycznych i duchowych. Całą siłą swego gorącego serca, Ewa przywiązywała się do Wendenburga i Gabrielki, dla której stała się siostrą, przyjaciółką i opiekunką.

Bernard Gerold od pierwszej chwili zdobył serca dziewcząt. Gabrielka marzyła o swoim rycerskim wybawcy, a to dziecinne uwielbienie przerodziło się z czasem w głęboką, bezgraniczną miłość.

Przyzwyczajona zwierzać się z wszystkiego Ewie, mówiła jej o tym swoim uczuciu, nie domyślając się, że skazuje ją na istne tortury. Ewa pokochała Bernarda od pierwszego wejrzenia, kiedy chwyciwszy go za ramię, niemem spojrzeniem swych głębokich oczu błagała go o ratowanie Gabrielki. Ale miłość swą zamknęła głęboko w sercu, wiedząc, że musi się wyrzec marzeń o szczęściu. Nigdy nie potrafiłaby go zbudować na ruinach marzeń Gabrielki, której całe jestestwo, skoncentrowało się w ukochaniu Bernarda. Jej nie pozostało nic prócz rezygnacji i ofiary. Unikała też Bernarda w miarę możności, starała się zachowywać wobec niego chłodno, a nawet sztywnie. Mimo całego wysiłku nie zdołała jednak przeszkodzić, by z bezwiednego blasku radości, zapalającego się w jej oczach na jego widok, młody człowiek nie odgadł jej tajemnicy.

A Bernard tak doskonale umiał czytać w tych cudnych głębokich oczach, które od lat stały się przewodnikami jego życia. Od owego niezapomnianego dnia nad Renem, Ewa stała się celem jego marzeń. Dla niej pragnął zdobyć stanowisko, by móc swej ukochanej ofiarować swe życie bez troski u jego boku. Dzięki nominacji na zastępcę dyrektora i wysokiej pensji, związanej z tym stanowiskiem dopiął celu i czekał tylko sposobności rozmówienia się z Ewą.

Na Gabrielę nie zwracał zbytniej uwagi. Lubił tę delikatną, śliczną dziewczynę, chętnie z nią rozmawiał i oddawał rozmaite usługi rycerskie, lecz nie żywił dla niej głębszego uczucia. Gabriela odkryła u niego bardzo dźwięczny baryton i na jej prośby musiał brać lekcje śpiewu. Sama z wielkim nakładem cierpliwości akompaniowała mu na fortepianie i nie posiadała się z radości, że tak szybko i łatwo uczy się nawet bardzo trudnych melodyj.

Z dziecinną szczerością okazywała mu swoje uczucia. Mimo to trwało bardzo długo, zanim zmiarkował, że dziewczyna kocha go inaczej, niż tego mógł pragnąć. Odkrycie to przeraziło go i przejęło współczuciem. Ale ona delikatne objawy tego współczucia tłumaczyła sobie zgodnie ze swem pragnieniem i skarżyła się przed Ewą, że z pewnością ten jej ogromny posag powstrzymuje go od wyznania.

I tego wieczora Gabriela coprędzej pragnęła zagarnąć Bernarda dla siebie.

— Mam prześliczne nowe pieśni, panie Gerold. Musimy dziś ćwiczyć bardzo pilnie.

— Jeśli sobie pani życzy — rzekł Bernard z uprzejmym ukłonem, ale tęskne jej spojrzenie popobiegło ku Ewie. Widział, że Gabriela nie zwolni go rychło i opóźni lub nawet uniemożliwi stanowcze rozmówienie się z Ewą.

Przy kolacji Wendenburg siedział między obiema pannami naprzeciw Bernarda, starając się uczynić rozmowę pogodną i zajmującą. Tego wieczora głównie zabawił Ewę, do której w ostatnich czasach odnosił się z rycerską uprzejmością. Dziewczyna nie zauważyła jednak zmiany w jego zachowaniu i z całą swobodą przyjmowała hołdy ojcowskiego opiekuna.

Atoli te ojcowskie uczucia Wendenburga dla pięknej wychowanki z biegiem lat uległy przeobra-

żeniu. W miarę jak czas uśmierzał jego ból po śmierci ukochanej żony. Ewa, która zajęła jej miejsce jako gospodyni domu, niepostrzeżenie owładnęła też jego sercem. I pewnego dnia, wróciwszy po dłuższej podróży, na widok jej poważnej urody uświadomił sobie po raz pierwszy swe uczucia i zapragnął związać swe życie z tą piękną, przedwcześnie dojrzałą duchowo dziewczyną.

W pierwszej chwili przeraził się tej miłości i pragnął ją zdławić, lecz zapuściła ona już zbyt silne korzenie, z każdym dniem potęgując się i pogłębiając. Zaczął otaczać Ewę rycerskimi względami i dyskretnie zabiegać o jej miłość. Dziewczyna przyjmowała je jako oznaki jego ojcowskiego przywiązania i starała mu się odwdzięczyć zdwojoną troską o wszelkie jego wygody.

Często przeglądał się teraz w zwierciadle i mimo całego krytycyzmu mógł być zadowolonym ze swej powierzchowności. Pod wpływem ożywiającego go uczucia wyglądał tak młodo, że nikt nie byłby się domyślił jego wieku; z powodzeniem mógł rywalizować z niejednym młodym. Przy tym może przecież ofiarować Ewie, biednej sierocie, stanowisko tak świetne!

Krępowała go tylko obecność córki.. Dopóki ona będzie w domu, nie może przecież skomplikować jej siostrzanego stosunku do Ewy, czyniąc z niej macochę.. To też z ogromną radością i ulgą spostrzegł miłość córki dla Gerolda, którą mu ona okazywała w sposób tak naiwnie szczery.

Gerolda cenił bardzo dla jego zdolności i charakteru i żywił dla niego serdeczną sympatię. Bez wahania oddałby mu jedynaczkę, nawet gdyby mu z powodów osobistych nie zależało tak bardzo na jej rychłem zamążpójściu.

Coraz częściej też zapraszał młodego człowieka do swego domu, umożliwiając mu przebywanie z Gabrielką. On sam dotrzymywał towarzystwa Ewie, gdy tamci dwoje zajęci byli śpiewem i muzyką. Pod wpływem tkliwych melodyj opanowywał go nastrój uczuciowy, każący zapomnieć o wszystkiem, co nie odnosiło się do jego uczucia. Spóźniona miłość rozpłomieniała całą jego istotę, a jego wciąż jeszcze piękne oczy tęsknie wpatrywały się w cichą poważną twarz Ewy, pragnąc z niej coś wyczytać. Gdy twarz ta przyoblekała się chwilami nagłym rumieńcem, a oczy zamglone rozmarzeniem, biegły w dal nieokreśloną, nie przeczuwał, że zmianę tę wywołują dźwięki ukochanego głosu śpiewaka, wsączające się w jej duszę niby czar upajający, pod którego wpływem zapominała o postanowieniu zrezygnowania z szczęścia i miłości.

Wendenburg widział jej niepokój, tak odbijający od zwykłej równowagi dziewczyny, a nie przeczuwając, że to śpiew Gerolda przyprawia ją o takie wzruszenie, tłumaczył sobie, że jest ono odpowiedzią na zew jego miłości.

I tego wieczora Gabi uprowadziła Bernarda do wspaniałego salonu, a Wendenburg z Ewą usiedli na jasno oświetlonej werandzie pod otwartemi oknami salonu. Ewa usiadła w ten sposób, że mogła dokładnie widzieć tamtych dwoje. Wendenburg był odwrócony od nich. Wpatrywał się w rozmarzone oczy Ewy, nie mogąc oderwać zachwyconego spojrzenia od jej cudnej uduchowionej twarzy.

Przewracając kartki nut, Bernard za każdym razem biegł spojrzeniem ku Ewie, pełen błogiego szczęścia, gdy wbrew nakazowi rozsądku oczy te zdradzały mu tajemnicę swej właścicielki. Wiedziała, że śpiewa dla niej, jedynie dla niej, a serce jej nie było w stanie oprzeć się jego spojrzeniu i prośbie biegnącej ku niej na falach śpiewu, przepojonego całą siłą miłości.

W tej chwili urwał znowu śpiew. Ewa westchnęła głęboko i twarz rozpromienioną, tajemnym szczęściem zwróciła ku Wendenburgowi. Odblask uczucia widniał jeszcze w jej oczach, kołysząc jego duszę do złudnych marzeń.

W salonie Bernard i Gabriela przewracali kartki nut, przy tym dziewczyna nie przestawała szczebiotać. Z ogrodu napływały oszałamiające zapachy kwiatów. Gabriela patrząc czule w zadumane oczy Bernarda, rzekła pieszczotliwie:

— Znów muszę panu powiedzieć, że ma pan głos cudowny..

— Bardzo się cieszę, że się pani podoba — odrzekł z uśmiechem. — Mnie wydaje się całkiem przeciętnym.

W słowach jej było tyle czułości, że zdjął go lęk. Nie mogąc przerwać tego sam na sam, pragnął przynajmniej uniknąć rozmowy, tak bardzo go krępującej. Szybko otworzył inne nuty.

— W takim razie mogę śpiewać w dalszym ciągu, jeśli sobie pani życzy — rzekł uprzejmie, lecz chłodno.

Przechyliła się ku niemu i zajrzała w rozrzucone nuty.

— Co pan wybrał? Ach... ulubioną pieśń Ewy. Musi ją pan zaśpiewać z szczególnem przejęciem.

Zanim znów zasiadła do fortepianu, zawołała przez okno:

— Ewo, uważaj, teraz będzie coś specjalnie dla ciebie. Pieśń Solvejgi, która tak bardzo lubisz.

Bernard zwrócił się do Ewy:

— Postaram się ją wykonać tak, by panią zadowolić.

Skinęła lekko głową i opuściła oczy, nie mogąc wytrzymać jego spojrzenia.

Zaczął śpiewać:

„I jesień dżdżystą i zimę tak długą,
Wiosnę i lato czekać tutaj muszę;
Czekałem wieczność — czekać będę drugą,
Jak ci przyrzekłam, poślubiając duszę."

Głos jego brzmiący głębokiem uczuciem zniewolił Ewę do podniesienia oczu. Z bezgranicznym oddaniem spojrzenie jej zespoliło się z jego spojrzeniem.

Zapatrzony w nią, magnetycznie pociągając ją ku sobie śpiewał:

„Niech Bóg cię strzeże w domu i na polu,
Niech błogosławi i ma w swej obronie,
Jeśli powrócisz, czekam cię bez bólu,
A jeśli umrzesz, złączym się po zgonie."

Oczy Ewy przyćmiły się łzami. Pieśń ta przejęła ją do głębi, ujawniła cały bezmiar ofiary, budząc w niej bunt przeciw rezygnacji z szczęścia całego żywota. Czy istotnie przez poczucie wdzięczności dla rodziców Gabrieli musi się dla niej wyrzec najwyższej szczęśliwości na ziemi? Czy musi?

— Ewo, co ci jest? Ty płaczesz? — usłyszała nagle jak przez sen głos Wendenburga. Zerwała się przerażona i szybko otarła łzy, spływające po jej twarzy.

— Och, ta pieśń... zawsze mnie tak wzrusza — wyjąkała zmieszana, siłą woli przywołując na usta uśmiech.

Ujął ją za rękę.

— Nie płacz, Ewuniu. Ja nie mogę patrzeć na twoje łzy — szepnął.

Przyciągnęła jego rękę do swej twarzy i jak rozżalone dziecko pieszczotliwie przesunęła nią po wilgotnym jeszcze policzku.

— Kochany, dobry wujaszek.

— Ewuniu, powiedz, czy czujesz się dobrze w moim domu?

Swobodnie położyła mu głowę na ramieniu.

— Wujaszku, jak możesz pytać? Nigdzie na świecie nie czułabym się lepiej.

Trwał tak bez ruchu, w błogim zachwycie, tylko pierś jego podnosiła się w przyspieszonym oddechu. Najchętniej byłby ją w porywie namiętności przycisnął do serca i wyznał swoją miłość. Opanował się jednak. Nie wolno mu jej przestraszyć tak nieprzygotowaną.

— Czy chciałabyś zostać u mnie na zawsze? — spytał cicho.

Rozmarzone jej spojrzenie pobiegło w dal, a z piersi wyrwało się westchnienie?

Oddychała ciężko.

— Daleko, w krainę baśni, gdzie kwitną czarodziejskie purpurowe róże. Ale ja mogę tylko stać u zamkniętej furtki, bo wejść mi nie wolno.

— Czegoż to twoja tęsknota szuka w krainie baśni? Powiedz.

— Serca, które należałoby wyłącznie do mnie. Nigdy jeszcze dla nikogo na świecie nie byłam przedmiotem najwyższego umiłowania. Jedynie dla mojego biednego ojca, ale wtedy byłam jeszcze dzieckiem i nie umiałam ocenić w całej pełni owego szczęścia.

— Ewuniu, czyż my cię nie kochamy? Gabi... ja?

Uśmiechnęła się boleśnie.

— Owszem... ale u was zajmuję drugie miejsce. A ja pragnę zająć u kogoś pierwsze.

Już chciał pochwycić smukłą dziewczynę w swe objęcia i zawołać: U mnie zajmujesz pierwsze miejsce! Kocham cię, zostań moją żoną! Ale w tej chwili jasnowłosa główka Gabi wychyliła się przez okno.

— Czy pieśń Solvejgi zesłała czar milczenia na szanownych słuchaczy, czy może zasnęli?

Ewa zerwała się szybko, jakby ją kto nagle zbudził ze snu.

— Istotnie uległam dziwnemu czarowi. Wuju, wybaczaj mnie, proszę, bo mówiłam głupstwa.

Wendenburg nie odpowiedział. Wsparty o balustradę werandy patrzył w płynące po niebie obłoki, zalane poświatą księżyca. Ewa podeszła doń i z dziecięcą swobodą objęła rękoma ujęła go za ramię.

— Wujaszku, czy gniewasz się na mnie?

Odwrócił głowę i spojrzał na nią.

— Nie, nie gniewam się, ale proszę nie poddawaj się już nigdy smutkom. Rychło nadejdzie dzień, kiedy się przekonasz, że jesteś dla kogoś wszystkiem na świecie. Zobaczysz.

Próbowała obrócić wszystko w żart.

— Dobrze, wuju, dobrze, mogę czekać. I wybacz mi, co powiedziałam. Mogłoby to wyglądać na niewdzięczność. Jestem przecież tak bogata, mając Gabi i ciebie. Wybacz, proszę.

Skinął tylko głową i lekko pogładził ją po włosach.

W tej chwili wyszli na werandę Gabi i Bernard.

— Oto jesteśmy. Taka cudna noc księżycowa — przejdźmy się jeszcze po parku — prosiła Gabi. — Ojczulku, przejdź się także z Ewą.

Bernard nie był wcale zachwycony tem ugrupowaniem. Tak bardzo pragnął chwili samotności z Ewą. Niemniej z uprzejmym ukłonem podał ramię Gabrieli.

Podczas przechadzki zamieniono zaledwie kilka słów. Każde z tych czworga oddawało się swym własnym tęsknym myślom, nie mając możności wypowiedzenia ich.

W pół godziny później Bernard wracał do swego mieszkania, zabrawszy z sobą wspomnienie jej lekkiego uścisku ręki, gdy ją przycisnął do ust na pożegnanie.

* *
*

Ewa stała w oknie swego pokoju, patrząc w noc księżycową. W tej chwili nie było w jej duszy ani śladu wyrzeczenia się ofiarnej rezygnacji z szczęścia. Myśli jej płomienną tęsknotą biegły za ukochanym.

„Czekałam wieczność, czekać będę druga,
Jak ci przyrzekłam, poślubiając duszę...“

nuciła cicho.

— Tak, przyrzekła mu to oczyma, gdy przy pożegnaniu odwzajemniła jego gorący uścisk ręki.

Drgnęła na dźwięk głosu Gabi, przywołującej ją do siebie z sąsiedniego pokoju. Cała promienność zgasła na jej twarzy, na którą padł cień smutku. Niechętnie podeszła do drzwi i uchyliła je.

— Czy ci czegoś potrzeba, Gabi? — spytała znużonym głosem.

— Ewuniu, chodź do mnie na chwilkę.

— Och, jestem taka zmęczona.

— Na małą chwilkę.. Chodź moja droga, kochana. Muszę ci coś powiedzieć.

Podeszła do łóżka, na którym poprzez miękką jedwabną kołdrę rysowały się drobne dziecięce kształty Gabrieli. Jasne, niezbyt bujne włosy okalały białą twarzyczkę, mieszającą się z drogocenną tkaniną koronek. Wyciągnęła ramiona ku wchodzącej, jak dziecko łaknące pieszczoty.

— Ewuniu, usiądź przy mnie na chwileczkę. Och, jak było dziś przyjemnie. Znacznie przyjemniej, niż podczas wielkich przyjęć. Wciąż jeszcze słyszę jego śpiew. Ach, Ewuniu!

Ewa wpatrywała się w delikatną, śliczną twarzyczkę i pieszczotliwie przesunęła ręką po jasnych włosach.

— Tak ci było przyjemnie, maleńka? — spytała cicho.

— Nie potrafię ci nawet powiedzieć, jak bardzo go kocham. Chwilami mam wrażenie, że serce musi mi pęknąć, gdyż nie zdołała pomieścić tego ogromu miłości.

— Tak bardzo go kochasz? — z trudem wyszeptała Ewa, a z twarzy jej uciekła cała krew.

— Niewymownie. Oddałabym życie za niego. A on kocha mnie również. Wyczuwam to z jego niepokoju, ilekroć jesteśmy sami.

— A jeśli się mylisz, Gabi? — rzekła Ewa, ujmując ją za rękę. — Nigdy nie można czytać tak całkiem dokładnie w duszy drugiego człowieka.

Twarzyczka Gabrieli ściągnęła się boleśnie.

— Och, nie mów tego, nie mów. Pozwól mi wierzyć w jego miłość, inaczej...

— Inaczej co, maleńka? — podjęła Ewa. — Przypuśćmy jednak, że się mylisz co do jego uczuć...

Błękitne oczy rozwarły się w trwodze śmiertelnej.

— Gdyby mnie nie kochał, nie potrafiłabym ...żyć. Tak, umarłabym napewno, czuję to... Ach, Ewuniu, nie masz pojęcia, w jaką rozpacz wprawiasz mnie samym takim przypuszczeniem.

Ewa pochyliła się nad nią i pocałowała ją w pobladłe usteczka.

— Nie, kochanie, ty nie umrzesz. Będziesz szczęśliwa... Ale teraz muszę już odejść, jestem tak strasznie znużona.

— Dobranoc, ty dobra, kochana. Teraz dopiero widzę, jak jesteś blada i zmęczona. Nigdy jeszcze nie widziałam cię tak znużoną. Jesteś zawsze taka silna, że nie raz zazdroszczę ci twojego zdrowia i sił.

— Nie zazdrość mi niczego, maleńka i staraj się zasnąć, byś się dobrze czuła jutro. Dobranoc.

Szybko poszła do swej sypialni. Mimo rzekomego znużenia, w którem zapewniała Gabi, przeleżała długie godziny z otwartymi oczyma, nie mogąc znaleźć snu. W piersi jej szalała walka sprzecznych uczuć. Czy wolno jej być szczęśliwą kosztem szczęścia Gabi? Z drugiej strony: czy dla niepewnego szczęścia przyjaciółki ma się wyrzec własnego, druzgocąc tem samem szczęście ukochanego? Któż jej zaręczy, że Bernard, otrzymawszy odmowę od niej, zwróci się do tamtej? A jeśli rozejrzy się za inną, czy Gabi będzie wtedy mniej nieszczęśliwa, niż gdyby ożenił się z jej najbliższą przyjaciółką, niemal siostrą?

Ciężkie te myśli spędzały sen z jej powiek i dopiero nad ranem zasnęła na kilka chwil.

* *
*

W parę dni później Bernard w porze obiadowej wchodził do swego mieszkania kawalerskiego. W przedpokoju gospodyni oznajmiła mu, że przybył do niego jakiś gość.

Bernard podskoczył ku drzwiom saloniku i otworzył je spiesznie. Domyślił się, kogo zastanie.

— Wuju, ty jesteś?

Ciąg dalszy nastąpi.

18)

# Niebezpieczny Gość

*Powieść*

A na podłodze w pobliżu drzwi leży nieruchomo piękna dziewczyna — ofiara nocnej tragedii, czy rafinowanej zemsty tajemniczego osobnika. Bladą twarzyczkę okala wieniec rozwichrzonych, jasnych włosów. Jedną ręką przyciska, uwydatniające się pod obcisłą sukienką, cudnie zaokrąglone, dziewicze piersi; druga ręka, szeroko jest rozłożona, zaciśnięte palce obejmują małego aniołka z bronzu. Na podłodze ukazuje się czerwona plama krwi, która wolno się powiększa...

— — — — — — — —

Zegar wolno wydzwonił godzinę trzecią.

Ranny świt wdarł się przez otwarte okno, rozrzedzając mroki, zapełniające przestrzenie pokoju bibliotecznego.

Majestatyczny spokój panował jeszcze w całej willi „Aurorze".

Po kilku jednak chwilach, gdzieś z wysokości piętra dochodzą odgłosy prędkich kroków, które po paru minutach wzmagają się jeszcze. Ktoś w pospiechu otwierał drzwi, przebiegał pokoje, korytarze. Równocześnie dały się słyszeć jakieś głosy... zdumione wykrzykniki i urywane słowa gorączkowej rozmowy. Głosy te stawały się coraz wyraźniejsze. Widocznie jakieś osoby zbliżały się do drzwi biblioteki. Wkrótce rozróżnić już można było drżący niepokojem głos pana Krańskiego, oraz może więcej jeszcze niespokojny i jakby przerażony głos Ireny Żalowskiej.

— ... Razem poszliśmy na górę — mówiła Irena. — Janka nie chciała jednak udać się na spoczynek. Mówiła, że zejdzie jeszcze do biblioteki, gdzie miała zamiar poczytać jakąś nową powieść.

— I nie wróciła już do sypialni?

— Nie wiem, wuju. Zasnęłam wkrótce i już nic nie słyszałam. I dopiero teraz, kiedy przebudziwszy się, zajrzałam do sypialni, stwierdziłam z przerażeniem, że Janki tam nie ma i, że najprawdopodobniej nie powróciła tam w nocy, gdyż łóżko pozostało nietknięte...

— Boże! Żeby tylko nie stało się jakie nieszczęście! — wyrzekł drżącym głosem pan Krański. — Zdaje się, że w nocy ktoś strzelał w pobliżu naszej willi...

— Spieszmy się wujku.

Naciśnięto na klamkę i pchnięto drzwi, te nie otworzyły się jednak. Szarpnięto nimi raz jeszcze.

— Wujku, co to znaczy? — pyta zaniepokojon Irena. — Drzwi biblioteki są zamknięte?

Pan Krański odparł zdławionym głosem:

— Tak, zamknięte. I to od wewnątrz...

— To znaczy, że Janka... ty drżysz wujku? Boże!

Sekunda ciszy. Nagle drzwi drgnęły pod ciężarem męskiego ciała... jedno i drugie szarpnięcie... trzask... i drzwi rozwarły się z łoskotem. Pan Krański i dziewczyna potoczyli się za ustępującymi drzwiami i wpadli wraz z nimi do środka.

Tak jak wpadli, tak też stanęli skamieniali z wrażenia. Jedynie dwie pary ich szeroko rozwartych z przerażenia oczu, błyskawicznym spojrzeniem zlustrowały bibliotekę. W pokoju bowiem panował dziwny nieład, jakby stoczono w nim walkę. Przed paru godzinami musiało stać się tutaj coś strasznego. Świadczyło o tym rozwarte szeroko okno i rozbita w nim szyba, jakieś przedmioty rozrzucone po ziemi, dalej przewrócone krzesło, oraz... Wielki Boże! Co to? Tuż przed nimi, na podłodze, leży jakaś postać...

Z ust drżącej Ireny wydarło się jedno tylko słowo, jeden ostry, przejmujący krzyk:

— Janka!

Pan Krański zachwiał się, jakby ugodzony sztyletem w samo serce. Zbladł bardziej jeszcze, rzekłbyś, że wszystka krew spłynęła nagle z jego twarzy. Zimny dreszcz przejął jego ciało. Boże! Czyżby w jego domu odważono się popełnić zbrodnię... och, jak okropną zbrodnię? Tuż przed nim, na podłodze w kałuży krwi leży bowiem jego ukochana córka...

Nogi ugięły się pod nim. Rozpaczliwym ruchem chwycił się za głowę i z jękiem osunął się na kolana obok zwłok swej córki, wpatrzony w plamę zakrzepłej krwi.

— Janeczko, dziecko moje... — bełkotał nieprzytomnie. — Boże! Co się stało? Janeczko, odezwij się... Przemów choć jedno słowo...

Wstrząsnął ramieniem córki. Dziewczyna nie dała jednak znaku życia. Ciało jej nie drgnęło, pierś nie poruszyła się nawet w najsłabszym oddechu. Ręka, jaką chwycił, była zimna.

Wtedy z jego męskiej piersi wydarł się jęk bólu, straszny krzyk rozpaczy:

— Boże! Ona nie żyje!... Moja ukochana córka. Zamordowali mi moje dziecko!... Jezu ratuj... wróć mi ją... Jezu...

Gwałtowny szloch szarpnął ciałem starszego człowieka.

Była to scena naprawdę wstrząsająca.

Stojąca dotąd w niemym osłupieniu, Irena naraz zawróciła i wybiegła na korytarz. Stąd pędem pobiegła na piętro. Ach, co się działo w jej duszy, tego nikt nie zrozumie! Rozpaczliwe myśli, szalone przypuszczenia z błyskawiczną szybkością przesuwały się przez jej skołatany umysł. Myśli te plątały się bezustannie, wir unosił je w coraz szersze kręgi chaosu. W żaden sposób nie mogła nadążyć za biegiem swych myśli, nie mogła też ich zrozumieć. Wiedziała tylko, że stało się coś okropnego... stała się potworna zbrodnia i, że biegnie, aby o tej zbrodni powiadomić Zdzisława Danieckiego.

Zdzisław wyszedł właśnie ze swego pokoju. W nocy męczyły go przykre sny, ukazywały się mu dziwne obrazy zaciętej walki. Walkę tę toczył on sam z bliżej nieokreślonym, niebezpiecznym osobnikiem, który miał czarne włosy i starannie wygoloną twarz... Pod wpływem tego snu przebudził się. Spojrzał na wiszący na ścianie zegar. Dochodziła godzina czwarta. Zdziwił się. Bowiem pomimo tak wczesnej pory, w willi „Aurorze" panował już dziwny ruch. Zamykano i otwierano drzwi, biegano po schodach, do uszu jego dochodziły nawet urywane słowa gorączkowej rozmowy. — Czy zachorował kto z domowników? — myślał zaniepokojony. — Wstał, ubrał się pospiesznie i, gubiąc się w najrozmaitszych domysłach, zamierzał zejść „na dół", gdy na korytarz wpadła Irena.

Zdzisław drgnął. Dziewczyna wyglądała, jak obłąkana. Nie widział jej nigdy w takim stanie. Włosy miała rozwichrzone, twarzyczka jej była pokryta trupią bladością, w oczach widniało przerażenie. Biegła boso...

Zobaczyła go.

— Panie Zdzisławie — wykrztusiła, nie mogąc złapać tchu. — Janka...

Tknięty strasznym przeczuciem, przyskoczył do dziewczyny i pochwycił ją za ręce.

— Panno Ireno! Na miłość Boską! Co się stało?

— Janka... nie żyje... zamordowana...

Zdzisław zachwiał się, jakby uderzony sztyletem w serce. Zmienił się momentalnie. Zmartwiał na parę sekund. Zdawał się nierozumieć znaczenia słyszanych okropnych słów.

Naraz palce jego rąk zacisnęły się, jakby chciały zmiażdżyć białe dłonie panny Żalowskiej, a z ust wydarło się mu jedno słowo:

— Gdzie?

— W bibliotece... Wujek znalazł ją w kałuży krwi...

Nie słuchał. Odepchnął brutalnie szlochającą dziewczynę. W szalonym pędzie zbiegł ze schodów,

w kilku skokach przebył długi korytarz i wpadł do biblioteki.

Na progu przystanął na moment, jakby oszołomiony obrazem, jaki przedstawił się jego oczom, potem przysunął się do klęczącego pana Krańskiego i potrząsnął go za ramię.

— Co się stało? Na Boga! Panie Krański?...

Starszy człowiek wejrzał na niego nieprzytomnie. Twarz jego była zmartwiała, szara. Zdawał się go nie poznawać.

— Ona nie żyje... — wskazał leżącą na podłodze.

Jęk wydarł się z piersi Zdzisława. W kałuży krwi leżała martwa jego ukochana dziewczyna, jego ideał, jego wszystko... Nie zważając na nic, dopadł do niej, uniósł ją bezwładną i obsypał pocałunkami.

— Jano... najdroższa Janeczko... przemów choć słowo — błagał. — Boże! To nieprawda!... Ona żyje. Musi żyć!... Jano, to ja... twój Zdzich... Jano...

Urwał naraz.

Powieki martwej rzekomo dziewczyny drgnęły i powoli uniosły się w górę. Przez sekundę oczy Janki spoczęły na twarzy swego narzeczonego i znowu nakryły się powiekami.

— Żyje! — krzyknął radośnie Zdzisław — panie Krański. Ona żyje!...

Żyje! Tyle pan Krański usłyszał. Zerwał się jakby ubyło mu kilkanaście lat. Ale czy to prawda... czy to tylko prawda...? Z natężeniem wpatrywał się w nieruchomą, bladą twarzyczkę swej córki. Drgnął. Bowiem usta Janki naraz poruszyły się w niezrozumiałym szepcie.

— Żyje! — zawołał pan Krański, składając dziękczynnie ręce. — O, dzięki Ci Boże. Jeśli żyje jeszcze, to może być uratowana...

Poczuł przypływ energii.

W tej chwili do pokoju wpadła Melania, zapłakana, a za nią Tulczyński. Pokojówka i literat byli przez Irenę uwiadomieni o nieszczęściu.

— Co się stało? — zawołał zdyszany Tulczyński, obejmując wzrokiem grupę ludzi. — Na Boga! Morderstwo?

Pan Krański zatrzymał ich ruchem ręki.

— Ona żyje...

— Żyje?... — głos literata zadrgał wzruszeniem.

— Tak. Jest zemdlona, ale iskierka życia tli się w niej jeszcze... Nie burczeć! — ofuknął lamentującą Melanię. — Zamiast beczeć, trzeba ratować. Byle mieć lekarza... prędzej po lekarza...

Nie był to już, jak przed chwilą, złamany strasznym ciosem, niezdolny do działania, zrozpaczony ojciec. Teraz ożywiała go nadzieja.

— Gdzie jest Franciszek? — rzucił zapytanie.

— Tu jestem...

Lokaj wysunął się z za drzwi. Był blady i usta miał silnie zaciśnięte. Był bez marynarki. Dowiedziawszy się o nieszczęściu panny Krańskiej, spieszył się bardzo. Przybiegł tak, jak stał.

Pan Krański zwrócił się do niego:

— Jesteś?... Słuchaj Franek. Pojedziesz po lekarza. Weź rower i jedź do miasta. Ale natychmiast. Każda minuta tu droga...

— Ja pojadę po lekarza.

— Pan, panie Tulczyński? Jak pan chce. Tylko niech się pan spieszy... A ty, Franciszku zawezwiesz policję. No, już! Spieszcie się.

Tulczyński i Franciszek byli już na korytarzu.

Irena pomogła Zdzisławowi podtrzymać nieprzytomną Jankę.

— Boże, jaka ona okrwawiona — mówiła drżąc ze wzruszenia. — Jest bardzo osłabiona. Musimy ją ratować... Prędzej! Przenieśmy ją do łóżka.

Nieprzytomną Jankę ostrożnie przeniesiono do sypialni, gdzie zajęły się nią Irena i Melania, oraz pan Krański.

Zdzisław nerwowo biegał po korytarzu, oczekując na przybycie lekarza.

Janka była ciągle nieprzytomna. Kilka kropli wina, wsączonych w usta osłabionej, wzmocniło ją trochę, ale nie na długo. Na chwilę tylko otworzyła oczy i ze zdziwieniem wodziła niemi po otaczających ją osobach. Poznawszy ojca, uśmiechnęła się doń blado. Pragnęła powitać, lecz natychmiast z cichym jękiem osunęła się na posłanie. Usta jej zaczęły poruszać się w niezrozumiałym szepcie. Wyciągała przed siebie ręce, jakby broniła się przed napaścią, wzywając równocześnie pomocy. Znowu poczęła majaczyć...

Stan chorej niepokoił bardzo pana Krańskiego i Irenę.

Wreszcie przybył lekarz. Przyjechał własnym samochodem. Wiedział już co się stało. Przywitawszy się z wychodzącym mu naprzeciw, panem Krańskim, bez zbytniego pospiechu podążył do sypialni panny Krańskiej.

Lekarz wpatrywał się w bladą twarzyczkę nieprzytomnej, potem przy pomocy Ireny przystąpił do obejrzenia rany. Badanie trwało dość długo. Lekarz potrząsał głową, opukiwał chorą, badał puls i nakoniec dał jej jakiś zastrzyk.

Janka nie reagowała na zastrzyk. Nie poruszyła się nawet, gdy igła lekarska przebijała jej białe ciało. Dopiero po chwili drgnęła, a oddech jej stawał się szybki, nieregularny... Wykonała kilka konwulsyjnych ruchów i opadła na pościel nieruchoma.

Czyżby umarła?...

Pan Krański zwrócił ku medykowi nagle poszarzałą twarz.

Lekarz przez kilka sekund wpatrywał się w leżącą dziewczynę, poczym rzekł krótko:

— Śpi...

Starszy człowiek odetchnął.

— Więc?...

— Nic jej nie będzie — odparł lekarz, wypisując receptę. — Otrzymała postrzał w lewą pierś u nasady ramienia. Pocisk przeszedł na wylot, szczęśliwym trafem nienaruszając kości. Córka pańska jest jednak bardzo osłabiona z upływu krwi i uległa lekkiemu wstrząsowi nerwowemu, wskutek nagłego przestrachu. Potrzeba jej teraz dużo spokoju, a za parę dni będzie zdrowa...

Zmizerowane twarze trapionych szalonym niepokojem i oczekiwaniem, mieszkańców willi „Aurory" rozpogodziły się nieco. Diagnoza lekarska wypadła nadspodziewanie pomyślnie. Jance nie zagrażało większe niebezpieczeństwo nad to, co ją już spotkało.

Po odjeździe lekarza pan Krański naradzał się ze Zdzisławem. W wyniku tej narady postanowili dołożyć wszystkich starań, aby wykryć sprawcę nieszczęścia. Pokój biblioteczny, w którym postrzelono Jankę, po prowizorycznym naprawieniu uszkodzonego zamka, zamknięto na klucz, aż do przybycia policji.

Niewątpliwie na życie panny Krańskiej dokonano zbrodniczego zamachu. Lecz kto był zbrodniarzem? Dlaczego strzelał w nocy do bezbronnej dziewczyny?... Próżno Zdzisław i pan Kranski gubili się w najrozmaitszych domysłach. Janka nie mogła mówić, a wszystko ukrywała zazdrośnie ciemna, tajemnicza noc.

Rozdział XII.

## ŚLEDZTWO

Młody dziennikarz był w doskonałym humorze. Pogwizdując wesołą arię, kończył właśnie ranną toaletę, gdy zapukano do drzwi.

— Proszę!

Na progu ukazała się żona nauczyciela, u którego zamieszkiwał.

— Panie — zawołała wzburzona matrona — ma pan niezwłocznie udać się do państwa Krańskich...

Kazimierz wypuścił z rąk trzymany grzebień.

— Co się stało?...

— Pannę Krańską spotkało nieszczęście. Jest ciężko ranna. Podobno ktoś usiłował ją zastrzelić. Była tu po pana ich pokojówka Melania...

Już nie słuchał. Tak jak stał, tak też wybiegł na drogę i pędem podążył w stronę willi „Aurory". Biegł przez całą wioskę, jakby chciał wyprzedzić myśli, które falą przelewały się przez jego nagle wzburzony umysł.

A więc stało się to, co już dawno przewidywał, a czego bardzo się obawiał. Kto dokonał?... Ani chybi, że „on"! Osobnik, kryjący się pod mianem „Gość". Poważył się na zbrodnię.. Niewątpliwie uczynił to z desperacji, pod wpływem rozpaczy, spostrzegłszy, że jego intryga nie wydaje spodziewanego owocu, ale to nie umniejsza jego winy. Dlatego spotkać go musi przykładna kara!... Tylko kto jest tym tajemniczym osobnikiem? Kazimierz miał już poważne podejrzenia. Zresztą, czy podejrzenia te są prawdziwe, musi to dzisiaj stwierdzić na miejscu.

Do willi przybył równocześnie z policją. Przybyło dwóch wytrawnych policjantów z pobliskiego miasta: komendant powiatowy aspirant Gromowski oraz jego podwładny starszy posterunkowy Janik. Stróże bezpieczeństwa i porządku publicznego konferowali coś żywo w hallu z panem Krańskim.

Dziennikarz nie chcąc im przeszkadzać, skinął tylko gospodarzowi i wysunął się z hallu. Przechadzał się chwilę po korytarzu, potem stanął sobie w framudze okiennej, bacznie nadsłuchując.

Nie czekał długo. Wnet drzwi uchyliły się cicho i na korytarz wysunęła się kuzynka panny Krańskiej. Zaszłe wypadki widocznie przygnębiły dziewczynę. Irena była bardzo smutna, a oczy jej były podkrążone. Ujrzawszy młodego dziennikarza, zmieszała się na moment, lecz wnet jej zmizerowana twarzyczka ożywiła się i lekko zarumieniła. Podbiegła do młodzieńca.

— Ach, panie Kazimierzu — zawołała uradowana. — Nareszcie pan przybył...

— Pani czekała? — spytał cicho. — Wiedziała pani, że przyjdę, panno Iruśko?...

Pochylił się do jej ręki.

— Wiedziałam. To ja posłałam po pana...

Wpatrzył się w słodkie źrenice dziewczyny, ściskając lekko jej rękę, aż dotąd spoczywającą w jego dłoni.

— Domyślałem się tego. Dlatego też spieszyłem się bardzo. Sądziłem, że mogę się przydać...

— Pan? Napewno! Wierzę, że jeśli kto, to tylko pan może nam dopomóc. Pan wie już, co co się u nas stało?

— Wiem coś niecoś. Więcej jednak się domyślam. A gdzież to wydarzyła się ta tragedja z panną Krańską?

— W bibliotece...

— Acha!

— Biedna Janka! Co ona musiała wycierpieć. Wie, pan, w ogólnym zamęcie sądziliśmy w pierwszej chwili, że już nie żyje. Była bowiem nieprzytomna i strasznie okrwawiona. Teraz śpi... Jest bardzo osłabiona, ale lekarz zaręczył, że rana nie jest groźna. Mimo to, nie będzie mogła dzisiaj złożyć żadnych wyjaśnień... Panie Kazimierzu! Prawda, że to okropne, żeby strzelać do bezbronnej dziewczyny? Chciano ją zamordować... Dlaczego? — Nie wiem. — Kto?... Również nie wiem. Przypuszczam jedynie, że to mógł uczynić ten sam osobnik, co napisał głupie anonimy. Zresztą pan napewno więcej wie ode mnie. Dlatego posłałam po pana. Musimy poznać sprawcę. A pan nam go ujawni, prawda panie Kazimierzu? Bo nie można mu tej zbrodni darować...

W oczach dziennikarza zamigotał znany płomień.

— O, nie! — rzekł twardo. — Zbrodniarza spotka przykładna kara. Zaręczam pani, że ktokolwiek on jest, jeszcze dzisiaj oddany będzie w ręce sprawiedliwości.

Irena spojrzała nań z nieukrywanym podziwem.

— Pan zawsze taki pewny siebie? — spytała mrużąc czarne oczy.

— Zawsze.

— Ma pan silny charakter.

— Może... — uśmiechnął się zdawkowo, gdyż przypomniał sobie, że ta jego „pewność siebie" niedawno drażniła ją ogromnie. Teraz było odwrotnie. To co wprzódy drażniło, teraz wzbudzało podziw i uznanie. Imponował jej.

— Kochana, miła dziewczynka...

— Rozstali się w pospiechu. W końcu korytarza ukazał się bowiem pan Krasński w towarzystwie obu policjantów. Kazimierz podążył im naprzeciw.

— Panowie idą do biblioteki? — spytał, podchodząc.

Aspirant Gromowski zmierzył go bacznem wejrzeniem.

— Pan... kto? — rzucił sucho.

Pan Krański pospieszył objaśnić:

— To pan Szperacki... Przyjaciel pana Domieckiego i mój znajomy.

— Pański znajomy... od dawna?

— Od prawie trzech tygodni.

— Hm! — mruknął oficer policji, sugestjonując oczyma młodego dziennikarza. — Pański znajomy. Dla mnie to wystarcza. Jednakże obecnie sytuacja jest wyjątkowa, a ja jestem policjantem i służbowo. Dlatego też nie powinien obrazić się pan, panie Krański, że poproszę tego pana o dowód osobisty...

— Ależ, oczywiście — uprzedził gospodarza Kazimierz. — Pańskie postępowanie jest najzupełniej uzasadnione, panie aspirancie. Proszę bardzo. Oto mój dowód osobisty...

— Pan jest dziennikarzem? — indagował już uprzejmiej policjant, zwracając dokument.

— Dziennikarzem i prawnikiem, jeśli chodzi o ścisłość. I dlatego mam do pana wielką prośbę, panie aspirancie...

— No, no... Cóż takiego?

— Jako prawnik interesuję się kryminologią. A panowie będą teraz przeprowadzać śledztwo. Może mógłbym być panom pomocny...

— Czy był pan obecny w willi „Aurorze", kiedy wydarzyła się ta... ta tragedia?

— Nie.

— No więc...

— Ale sprawa interesuje mnie z innej strony. Ciekawy jestem przebiegu śledztwa i jego wyniku. Czy mógłbym wziąść udział w śledztwie?

— Pan?... — aspirant zmierzył go badawczo. — Nie cierpię, gdy kto niepowołany wtrąca się w nasze sprawy.

— Nie będę panom w niczem zawadzał. Będę jedynie obserwował. Pragnę wyrobić sobie ściśle własny pogląd na tę sprawę...

— Hm!... Pan jest prawnikiem? No tak... Mogę zrobić wyjątek... Ale zastrzegam, że pan nie będzie wtrącał się do naszych spraw i niczem nie będzie wpływał na bieg śledztwa.

— Rozumie się.

— A teraz do pracy. Panie Janik!

— Słucham, panie komisarzu.

— Dopilnujecie, aby żaden z domowników nie opuszczał willi. W żadnym razie — rozumiecie? Przyjdźcie potem do biblioteki.

— Rozkaz, panie komisarzu!

— Czy wszyscy są w domu, panie Krański? — spytał aspirant, spoglądając za odchodzącym podwładnym.

— Wszyscy — odparł pan Krański. Za wyjątkiem mego lokaja Franciszka Leśniczaka, który jest w mieście. Posłałem go do aptekarza po leki.

— Dobrze. A teraz obejrzyjmy miejsce, gdzie usiłowano dokonać zbrodni.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

## *Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie*

**Niedziela, dnia 7 lutego 1937 r.**

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa Po nabożeństwie: „Orkiestra i soliści" (płyty) 12.03 Koncert rozrywkowy 14.25 Reportaż z parowozowni lwowskiej 14.50 „W zapusty z podkoziołkiem" — słuchowisko regionalne 15.30 Audycja dla wsi 16.30 Słuchowisko sportowe: „Na alarm" 17.00 Koncert symfoniczny (z Katowic) 19.00 „Młody Sienkiewicz w świetle nowych listów" — szkic 19.20 Muzyka taneczna (płyty) 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 21.30 Utwory fortepianowe w wyk. J. Turczyńskiego 22.10 Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego gra do tańca 23.00 Muzyka taneczna.

**Poniedziałek, dnia 8 lutego 1937 r.**

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Muzyka polska (płyty) 15.15 Koncert solistów 15.55 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.30 Koncert chóru „Orzeszkowianek" 16.50 „Co Polska wniosła do kultury" 17.05 „Ucichły kastaniety" — reportaż muzyczny 17.50 „Łzy oceanu" — pogadanka 19.00 Audycja strzelecka 19.30 Ludowa kapela F. Dzierżanowskiego 20.00 Muzyka taneczna 21.00 „Przy literackim stoliku" 21.30 „Szczęśliwy połów" — opera 22.30 „Mieczysław Karłowicz w Tatrach" 23.00 Muzyka taneczna.

**Wtorek, dnia 9 lutego 1937 r.**

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert południowy w wyk. ork. dętej huty „Pokój" 15.15 „Z twórczości operowej Thomasa i Masseneta" 16.30 7 audycja — „Sonaty skrzypcowe Beethovena" 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść mówiona 17.15 Koncert łódzkiej Orkiestry Salonowej 18.00 „Wyjazd do ślubu" — fragment z „Wesela na Kurpiach" 19.20 „Międzypusty, zapusty — nie chcemy jeść kapusty" 20.00 „Nie tak prędko panie Drucil" — skecz 20.15 „Kuligiem do morza" — fantazja na tematy polskie 21.00 „W ostatni dzień karnawału" 22.30 „Płyta za płytą" — muzyka taneczna 23.00 Muzyka taneczna z dancingu „Cafe Club" w W-wie.

**Środa, dnia 10 lutego 1937 r.**

6.30 Audycja poranna 12.03 Ludwik van Beethoven (płyty) 15.15 Koncert zespołu Haliny Adamskiej-Grossmanowej 16.25 „Trito Schipa śpiewa piosenki" (płyty) 17.00 „Walka ze szpiegostwem" — odczyt 17.15 J. S. Bach: Oda żałobna (Trauerode) — kantata nr. 198 18.50 Capstrzyk Marynarki Wojennej z Gdyni 18.51 Przemówienia 19.10 „Hymn Bałtyku i Pieśni o Morzu" 19.25 „Sejm Morski" reportaż historyczny 19.45 „Pieśń o Gdyni" 19.50 „Gdynia" — żywe migawki z portu 20.10 „Pieśni ludu kaszubskiego" 20.30 „Apel miast polskich" — audycja zbiorowa 20.45 Polonez A-Dur Chopina 21.00 „Morze w muzyce i poezji" 22.00 „Głos mają nasi pionierzy kolonialnii" 22.15 „Od portu do portu" 23.00 Pozdrowienia dla naszych statków na morzach oraz życzenia od załóg statków polskich 23.10 Orkiestra Marynarki Wojennej.

**Czwartek, dnia 11 lutego 1937 r.**

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych 12.03 Koncert Orkiestry Policji Państwowej 15.15 „Wiolonczela, fortepian i flet (płyty) 16.35 „Higiena psychiczna w wychowaniu" — odczyt 16.50 „Godzina bajek" — koncert 19.00 Premiera słuchowiska poetycznego „Mozart i Salieri" Puszkina (w setną rocznicę zgonę A. Puszkina) 21.00 „Sylwetki kompozytorów polskich" — „Łucja Drege-Schielowa" 21.45 „Płyty dla znawców" 22.30 Muzyka lekka w wyk. Małej Orkiestry P. R.

**Piątek, dnia 12 lutego 1937 r.**

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Uczniowie Zygmunta Noskowskiego (płyty) 15.15 Koncert Tria Salonowego Polskiego Radia 16.30 Muzyka operowa (płyty) 17.00 „W kraju wiatraków i rzek płynących w górę" — felieton 17.15 Mozart: Divertimento Es-Dur na skrzypce, altówkę wiolonczelę 19.20 „Z pieśnią po kraju" 19.45 Fragment operowy 20.00 6 — „Instrumenty orkiestry symfonicznej" 20.15 Koncert symfoniczny 22.30 „Powiedz mi co czytasz, a powiem ci kim jesteś" 22.45 Muzyka lekka.

**Sobota, dnia 13 lutego 1937 r.**

6.30 Audycja poranna 11.30 „Śpiewajmy piosenki" 12.03 Zespół kameralny Niny Mańskiej 14.30 „Wesoła audycja" dla dzieci 15.15 Janusz Popławski, Stefan Witas i orkiestra Barnaby Geczy. Koncert rozrywkowy (płyty) 16.15 Popularne melodie Czajkowskiego 17.00 Nabożeństwo z Ostrej Bramy w Wilnie 19.00 Audycja dla Polaków za granicą 19.30 Koncert Orkiestry Polskiego Radia 21.00 „Poezja Tetmajera w muzyce" — audycja muzyczna 21.45 Wesoła Syrena „Lekarze pod nożem" 22.15 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

**P. H. Sz. Inowrocław.** Rozwiązania łamigłówek można nadsyłać tylko na pocztówce lub też listownie, jako druki — wykluczone.

**„Nr. 120".** Cena ogłoszenia wynosi 3.70 zł. Pozdrawiamy i dziękujemy za życzliwość.

**„Czytelniczka".** Powieści, o którą Pani chodzi, nie będziemy narazie drukowali — może kiedyś w przyszłości. Serdecznie pozdrawiamy.

**„Stała Czytelniczka z Jarocina".** Nie znamy sposobu, jak wyprać domowym sposobem tkaninę, brokatową — najlepiej oddać do chemicznego czyszczenia. Pozdrawiamy!

# H-U-MO-R

### *Cudowny kraj*

— Wiesz, czytam opis wyprawy do bieguna północnego. Cóż to za kraj cudowny!

— A to dlaczego?

— Bo tam noc trwa 142 doby, więc jak powiesz wierzycielowi „przyjdź pan w dzień", to masz spokój przez parę miesięcy.

### *Cięta odpowiedź*

Pewien słynny malarz wykonywał portret niemniej znanego lekarza, który rozporządzał bardzo małą ilością czasu i nigdy nie mógł usiedzieć do końca. Gdy portret został ukończony i malarz zażądał jeszcze jednego pozowania celem skorygowania ewentualnych błędów, lekarz zawołał zniecierpliwiony:

— Panie, jabym nad najpoważniejszym pacjentem nie pracował tak długo, jak pan nad tym portretem!

— To zrozumiałe... — odparł malarz. — Bo jeżeli pan popełni błąd, to go pan zakopie do ziemi wraz z nieboszczykiem, ale mój błąd wisi na ścianie przez długie lata i każdy go widzi...

### *Dobrze zaopatrzony*

— Czy ma pan u siebie poczekalnię, panie doktorze?

— O, nawet dwie — jedną, w której moi pacjenci czekają na mnie, a drugą, w której ja czekam na pacjentów. Ta druga jest częściej zajęta...

### *Seans telepatyczny*

W salonie p. X. pan Adolf jako medium aranżuje seans telepatyczny.

— Czy pan zgadnie, co pomyślałam w tej chwili? — pyta córka pani domu.

— Pomyślała pani, że gdybym się oświadczył o jej rękę, odmówiłaby pani.

— Ależ nic podobnego.

— W takim razie proszę panią o rękę.

### *Nieomylność*

— Proszę panów, panowie donieśliście wczoraj o mojej śmierci... — mówi malarz, przybywając do redakcji sensacyjnego dziennika — proszę koniecznie odwołać tę wiadomość.

— Bardzo pana przepraszam, my nic nigdy nie odwołujemy. Ale ponieważ chcemy panu jak najbardziej iść na rękę, możemy pańskie imię i nazwisko umieścić jutro w rubryce „urodzin".

### *W cyrku*

Pogromczyni była tego wieczoru naprawdę fenomenalna. Po wykonaniu całego programu przywołała najdzikszego lwa z menażerii. Zwierzę zbliżyło się wolno i spokojnie wyjęło jej końcem warg kawałek cukru, który trzymała w ustach.

— To nic nadzwyczajnego! — zawołał jeden z widzów. — Każdy mógłby to samo zrobić.

— Proszę więc, niech pan wyjdzie na arenę i dokaże tego — zawołała oburzona pogromczyni.

— Z przyjemnością. Zrobię to napewno tak samo dobrze, jak lew...

### *Ocena*

Pan N., zamożny poznański przemysłowiec, ma pretensje literackie. Ostatnio napisał powieść, którą wręczył znajomemu redaktorowi do oceny mówiąc:

— Ja piszę tylko dla mojej przyjemności!

Po paru tygodniach telefonuje do redaktora:

— Co słychać z moją powieścią?

— Zgadzam się co do niej z szanownym panem — odpowiada redaktor.

— Nie rozumiem...

— Jest napisana tylko dla pańskiej osobistej przyjemności...

### *Zna kobiety*

Głąbek: — Wczoraj po powrocie z biura do domu moja żona przysunęła mi fotel do okna, przygotowała mi pantofle i nalała mi kieliszek doskonałego wina.

Przyjaciel: — Patrzcie, co za czułość! A ile kosztowała jej nowa sukienka?

### *Nasi milusińscy*

— Nie mógłby wujaszek sobie głowy otworzyć?

— Co też ty mówisz, moje dziecko?

— Bo tatuś mówił, że wujek ma kiełbie we łbie, a jabym chciał te rybki zobaczyć.

### *Trumna na całe życie*

— Trzysta złotych za tę trumnę? To stanowczo za drogo.

— Proszę pana, to jest wspaniała trumienka, wystarczy nieboszczce na całe życie.



**Nieszczęście nie chodzi w pojedynkę: p. Abstynencki nietylko że poczuł na swej głowie, że butelka pusta, bez alkoholu jest zgoła... nieprzyjemna, ale dostał się za nią do komisariatu policji.**


PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJĄ Żnin (Wlkp.), ulica Śniadecki h 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.